SIBLIOTEKA INSTYTUTU BAŁTYCKIEGO W GDAŃSKU

Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena 25 zł.

Szlak 15
Instytut Bałtycki
Wydz. Bibliot.
G d a ń s k
ul. Elżbietańska 3

Dziś

tygodnik społeczno-literacki

W NUMERZE

T. ORLEWICZ — Handlarze i spółdzielnie
W. SZUMSKI — Marian Buczek
W. MROŃSKI — Nauczyciel w walce o pokój
J. POGAN — Chłopi, robotnicy, dwór
J. LONDON — Ludzie otchłani

Rok VI

Warszawa, dn. 18 września 1949 r.

Nr 38 (217)

Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego
CIV 9037

MAKSYM TANK

POETA MÓWI

z poematu „Dziennik pokoju"

W niedającym się ugasić gwia [zdozbiorze
świeci jak gwiazda
wśród republik radzieckich
mój młody kraj.
Leży on na brzegach
Dniepru i Dźwiny,
tam gdzie słychać szum
białowieskiej sosny,
gdzie bezkresne są przestrzenie
łąk i lasów,
gdzie na polach
nie ustaje huk traktorów,
gdzie dumny sokole
mają wysoki lot
gdzie żyje pracowity
i odważny lud,
gdzie wiatry
szumią partyzancką sławą,
gdzie Kupały i Kołasa
pieśni dźwięczą.

... W naszym kraju
można jeszcze zobaczyć ruiny.
Są to ślady złych czasów,
resztki wojny.
Lecz wstają miasta
z ognia i biedy,
i szumią
na dawnych zgliszczach sady.
kwitnie kok-sagyz.
Wyrasta ożmina,
My drogi układamy
naprzód
do komunizmu.

... Bracia!
wszyscy, którym drogie są
pokój i zgoda,
przyjaźń wolnych narodów,
świtająca nad ziemią
i wiosna,
która dzwoni nad swobodą pól,
która szumi młodymi pędami [drzew,
i wesoła młodość,
i szczęście dzieci,
i w ciszy nocnej
nucenie kołysanki, —
my, obrońcy prawdy,
podajemy wam dłoń, my,
żołnierze Stalingradu,
podajemy wam dłoń,
my, ludzie radzieccy,
podajemy wam dłoń.
I nikt nigdy,
ani mieczem, ani ogniem
uścisku naszych dłoni
nie rozerwie.
Witamy
wschód słońca pokoju.
Niechże wiedzą
przeciwnicy pokoju,
że nie uda się im
zaćmić naszego słońca
swoim tumanem.
Ten, kto pragnie
naszą przyjaźń [odrzuci,
kto do prawdy [uciąży,
naszą prawdę spostrzeże,
ten kto pieśni pragnie
naszą pieśń odnajdzie.
A kto wiatr posieje
burzę będzie zbierał.

Głos pokoju
nad światem
w dzień i w nocy
krusząc przegrody
zwycięsko dźwięczy!
Nie zatrzymają go
posterunki graniczne.
Przez druty kolczaste i rowy
przebija się on.
Nie powstrzymają go
ani góry,
ani rzeki
ani lufy miotaczy min
ani chłód bagnetu.
Niczym fala przypływu
rzuca się
w nabrzeża Nowego Jorku
na doki i forty.
Nad Chinami
płonie świtem swobody,
nad Europą
w czerwonych sztandarach szumi.

Więc dźwięcz nad ziemią
co raz to silniej,
coraz dobitniej
głosie pokoju.
wezwaniem milionów ludzi!

tłum. E. Martuszewski

JAN ALEKSANDER KRÓL

ŚWIADOMOŚĆ USTROJU

(PO PLENUM SIERPNIOWYM ZARZĄDU GŁÓWNEGO Z. S. Ch.)

III Kongres Związku Samopomocy Chłopskiej, który odbył się w marcu bieżącego roku, rzucił hasło organizacyjne o znaczeniu przełomowym dla rozwoju Polski na drodze do socjalizmu, przełomowe dla stosunków społeczno-gospodarczych wsi polskiej.

„Decydujemy się przesunąć punkt ciężkości naszej pracy na *Koło Gromadzkie ZSCH!*" W skrócie: *Stawiamy na gromadę!*

Kongres ZSCH dał w ten sposób odpowiedź na sierpniowe Plenum PPR-u i Kongres Zjednoczenia partii robotniczych z ub. roku.

Przypomnijmy wytyczne naszego ustroju gospodarczego i społecznego, które sformułował przed rokiem min. Minc.

„Elementy w założeniu swym socjalistyczne naszej gospodarki zajmują dominujące położenie w przemyśle, komunikacji, finansach, stanowią już czynnik decydujący w handlu hurtowym, znajdują się w stałym wzroście na odcinku handlu detalicznego, na odcinku budownictwa, oraz zajmują poważne, aczkolwiek w małym jeszcze stopniu produkcyjnie wyzyskane, pozycje na odcinku produkcji rolnej...

Trzeba stwierdzić, że ten stan posiadania elementów w założeniu swym socjalistycznych w naszej gospodarce został osiągnięty w drodze systematycznej walki z elementami kapitalistycznymi, w drodze ich okiełznania, na niektórych odcinkach ich ograniczenia, a gdzie niegdzie ich wyparcia...

Trzeba wyraźnie powiedzieć, że rządy Demokracji Ludowej mogą przy systemie Demokracji Ludowej i bez marszu naprzód ku nowym formom ustrojowym jedynie ograniczać i hamować kapitalistyczny rozwój wsi, nie potrafią jednak zatrzymać go zupełnie, bowiem „gospodarstwo indywidualne rodzi kapitalizm i burżuazję stale, codziennie, co chwila, żywiołowo i w skali masowej".

Jasne jest przecież dla każdego, że proces kapitalistycznego rozwoju w osłabionym tempie trwa i teraz, że i teraz większość wsi jest eksploatowana przez wiejskiego kapitalistę, przez zatrudnienie siły najemnej, przez system odróbek, przez lichwę zbożową i pieniężną itd."

Znaczenie odpowiedzi, jaką dał III Kongres ZSCh. na wytyczne sierpniowe, polega nie tylko na z solidaryzowaniu się z nimi, tzn. na uznaniu konieczności dalszej walki z odradzającym się kapitalizmem na wsi i na uznaniu konieczności prowadzenia tej walki „naprzód ku nowym formom ustrojowym". Przełomowe znaczenie Kongresu polega przede wszystkim na stwierdzeniu *społecznej możliwości* realizowania wytycznych.

Taki sens ma hasło: Stawiamy na gromadę!

Gromada to ostatnie, podstawowe ogniwo terytorialnego i społecznego życia chłopów. Gromad (wsi) mamy w Polsce 44 tysiące. Wytyczne mówiły o konieczności wyzyskania przez elementy w założeniu swym socjalistyczne w niepomiernie większym stopniu pozycji produkcyjnych w rolnictwie. Daje o tym wyobrażenie Plan 6-letni: zwiększenie produkcji rolnej prawie o 50%. Mówiły wytyczne o zaostrzeniu na wsi walki klasowej z wyzyskiem kapitalistów wiejskich, o ich ograniczaniu, wypieraniu z życia gospodarczego i społecznego biedniaków i średniaków na wsi. Mówiły o marszu naprzód ku nowym formom uspołecznienia. Kongres odpowiedział: stawiamy na gromadę! Oznajmił zatem, że wytyczne konkretyzują i doprowadzają do stanu powszechnej świadomości procesy, które się przez pięć lat Polski Ludowej toczyły i wzmagały na wsi. Procesy walki klasowej, wyzysku gospodarczego i ucisku społecznego ze strony kapitalistów wiejskich, siania wstecznictwa, zamącania wiary w nowy ustrój i wiedzy o nim z jednej strony; z drugiej — zdobywanie krok po kroku pozycji gospodarczych i społecznych przez wyzyskiwanych biedniaków i przekonywanych, otrząsających się z wahań i złudzeń na kapitalistyczny dorobek średniaków, pozycji ujarzmiających i spychających na margines życia wsi kułaków, ich zauszników i protektorów.

Kongresowe hasło — „stawiamy na gromadę" — wyrażało pewność, że w 44 tysiącach wsi polskich, że w każdej gromadzie narosły siły do walki klasowej, że prą one w toku produkcji, w toku jej wymiany w obrocie towarowym do dalszych przemian gospodarczo - socjalnych, że rośnie nowa wiedza i nowa świadomość społeczna i wieś przez swe podstawowe masy chłopskie wrasta w nowy ustrój, chwyta jego przesłanki i wytyczne, dozbraja się nimi w rozumieniu lokalnej i światowej sytuacji, dozbraja się w dialektyce walki codziennej i codziennej przebudowy więzi gromadzkiej.

Tezę Kongresu potwierdziły najbliższe miesiące. Sierpniowe Plenum Głównego Zarządu Z. S. Ch. stanęło przed pierwszym doświadczeniem hasła: stawiamy na gromadę!

*

Ustrój który się „rozgrywa" na gromadzie i tam jest już w toku walki i rozbudowy staje się w najpełniejszym tego słowa znaczeniu **ustrojem narodu.**

Trzeba ten przełomowy moment porównać z również historycznym dla wsi polskiej przełomem, jaki dokonywał się w ostatnim dziesięcioleciu XIX w.

Wówczas było to scalanie się wsi z ustrojem kapitalistycznym.

Upłynęło prawie pół wieku od zniesienia pańszczyzny w Galicji, upłynęło ponad 30 lat w Kongresówce. Mechanizm drobno - towarowej produkcji i wymiany, mechanizm kapitalistycznego ustroju, acz o cechach kapitalizmu niedorozwiniętego, zdający kraj z zewnątrz na inwazję ekonomiczną na los półkolonii, od wewnątrz przedłużający feudalne relikty dworów i folwarków, ten mechanizm pod koniec w XIX działał już na gromadzie w każdym szczególe życia jednostkowego i zbiorowego.

Tworzył już powszechnie schemat myślenia chłopa, stawał się jego „naturą", obrazem życia, pomyślnym na pozycji kułackiej lub gdy doprowadzał do tej pozycji, pętaczką zaś i mamidłem dla mas chłopskich, wyważanych z małych gospodarstw, gnanych za ocean nadzieją pracy i zaoszczędzenia, a za powrotem nadzieją stabilnego usytuowania się w rodzinnej wsi na najniższym szczeblu drabiny kapitalistycznego posiadania.

Ustrój, który wtarł się i jest już na gromadzie, osiąga tu równolegle swój wykładnik ideologiczny, żyje w świadomości społecznej. Mamy tych dokumentów świadomości ustroju kapitalistycznego na wsi — nie mało. Chcemy przypomnieć te z najwcześniejszej, pierwszej fazy, do której, aby wieś dojrzała, trzeba było jednak kilkudziesięciu lat. Słomka, urodzony w ostatnich latach pańszczyzny, trafnie bardzo w swych Pamiętnikach określa sens przemian, wąsko ale trafnie. Oto nastała — **hipoteka.** „Odtąd dopiero stało się jasną dla każdego rzeczą, że to co posiada (parcelę) jest święcie jego własnością". Słomka wywodził się z kmieciów, miał majątek, któremu hipoteka nadawała klasowe znaczenie „świętej własności". Inny pamiętnikarz tych czasów, Magryś, pochodził z rodziny komorniczej, wydźwignął się jednak na pozycję bogatego gospodarza. Drogę utorował mu warsztat tkacki matki w tym przejściowym okresie, kiedy to kurczył się już indywidualny wyrób odzieży na wsi a produkcja fabryczna nie wzrosła dostatecznie i nie przebiła sobie jeszcze sieci kanałów zbytu na chłopską prowincję.

Magryś pozostawił złudne wskazania dla mas chłopskich o podobnie biedniackim starcie życiowym, jak jego. „Cała tajemnica naszego powodzenia leżała w tym, żeśmy dobrze znali swoje rzemiosło, pracowaliśmy od rana do nocy i nie piliśmy wódki".

Słomka wyrażał ten sam optymizm. „Teraz pierwszy lepszy chłop jest swobodny i może żyć jak dawniej szlachcic".

Bojko pisał w „Dwóch duszach"— „A ciebie chłopie, jak podatek i procenta a kapitał regularnie płacisz, jak rekruta a powinności odrobisz... — toś pan całą gębą i jedna tylko śmierć cię z domu wypędzić może a zresztą nikt. Słyszysz? Nikt nawet sędzia, nawet biskup, nawet minister, nawet król... ale powiedz mi czy ty masz odwagę cywilną do twojego dzisiejszego państwa i przy tem prawie, jakie ci przysłużą"...

To, co mówił Słomka, Magryś i Bojko wyrażało świadomość kułackiej części wsi, jej zgodę na nowy ustrój. Bo wolności demokracji burżuazyjnej mogły być przywilejem tylko kapitalistów wiejskich za cenę pozbawienia w nich udziału mas chłopskich, w walce z tymi masami. Te perspektywy „chłopa swobodnego teraz jak dawniej szlachcic", „pana całą gębą" to była zdobycz kułaków w pierwszej fazie kapitalizmu na wsi. Ich umocnienie klasowe, ich wygrana, przez nich dokonane ujarzmienie wsi, podporządkowanie swemu autorytetowi, swym manipulacjom gospodarczym i politycznym. I najstraszliwsze: zasugerowanie masom kułackiej perspektywy klasowej, jako wzoru życiowego, w którym rzekomo realizuje się godność i wolność człowieka. Przez dziesiątki lat miały masy biedniackie wypróbować bezskutecznie ten katechizm, przez dziesiątki lat w milionowych rozczarowaniach gromadzić historyczną i klasową wiedzę o kłamstwie i podłości tego katechizmu.

*

Trzeci Kongres Z. S. Ch. mógł już po 4-ch latach rządów robotniczo-chłopskich wysunąć hasło — stawiamy na gromadę! Bo już jest w niej świadomość społeczna nowego ustroju nie mniej żywa i nie mniej silna, jak tamta, która przed pół wiekiem kierowała wiejskim życiem gospodarczym i politycznym. Można by się dziwić tak szybkiemu wzrostowi tej nowej świadomości. Ale kiedy sobie uprzytomnimy, że wyraża ona eksplozję straszliwie długo gromadzonego doświadczenia mas chłopskich, kiedy sobie uprzytomnimy, że nasza rewolucja i władza ludowa dały wsi nowe doświadczenia to jasne jest, że tempo tej świadomości narasta proporcjonalnie do zasięgu klasowego, na rzecz którego działa nowy ustrój. Po kilkudziesięciu latach od zniesienia pańszczyzny kapitalizm spętał masy chłopskie na dobre i świadomość kapitalistyczna jaka wyrosła i dojrzała w nich była już świadomością więźnia, świadomością przykutego do kajdan. Świadomość „pana całą gębą", wyrosła tylko w szczytach wiejskiej arystokracji.

Teraz sytuacja się odwróciła. Świadomość nowego ustroju to zdobycz i narzędzie walki mas chłopskich. One przyspieszają jego rozwój we własnym interesie klasowym na gromadzie. Przyciągają go od centrów, i konkretyzują u siebie, w terenie. Nowe doświadczenia ukazały masom chłopskim poza wsią przestrzeń wymiecioną z kapitalistycznej organizacji produkcji i stosunków społecznych. Ukazały planową, uspołecznioną produkcję, wymianę i kredytowanie. Ukazały wartość tej przemiany, ubezpieczenie mas chłopskich przez klasę robotniczą: gospodarcze i polityczne. Został wróg na miejscu, którego doniedawna wspierał stary ustrój, którego wspiera dziś jeszcze wiele nieprzemienionych elementów dawnego ustroju: instytucyj, rutyny i obyczaju. Ale w takim układzie walka z wrogiem klasowym staje się życiową, nieuniknioną koniecznością. W jej wir wciągają masy chłopskie codzienne potrzeby i możliwości bezpośredniego ich rozwiązania coraz bardziej racjonalnego, coraz bardziej uspołecznionego.

Wiele lat upłynęło nim powstały chłopskie zapisy kapitalistycznej świadomości wsi. Dziś po 4-ch latach Polski Ludowej garściami można zbierać dokumenty nowej dojrzałości społecznej, która wyraża drogę i świadomość mas biedniackich i średniorolnych. Zapisują je starzy chłopi i młodzież. To nie są jeszcze pamiętniki ani opowieści. Jest dopiero okres początku, natarcia. Świadomość eksploduje błyskawicami celnych strzałów w klasowych bitwach, które narzuca wsi tok przemian ogólnospołecznych w kraju i na świecie, które nasuwają kolejno ogniwa prac każdego roku rolniczego. Te zapisy są samodzielne, łatwo je odróżnić od powtórzeń gotowych haseł, ocen i uchwał. Szukają swojej formy, nie codziennej, bo wyrażają przemiany historyczne, formy uroczystej, bo zawrzeć chcą patos nowej, zwyciężającej epoki. Autorom tych zapisów często nie przychodzi do głowy, że konkurują z poetami. Wysiłek wkładany w poetycką formę potrzebny im jest do uwyraźnienia treści nowej świadomości społecznej, jaką przeżywają wraz z innymi.

Wachlarz tej świadomości jest szeroki. Podstawowe osiągnięcie to — „przejrzenie na oczy".

„Byłem dzieckiem „towarowego" [ustroju
jego założeń filozoficznych
kanonicznych
i socjalnych"

pisze chłop z kieleckiego, pisze w imieniu rzesz starego pokolenia.

„To nic że moja matka
nie zna Engelsa i Marksa
skoro w mojej bibliotece
znajdują się książki
twórców socjalizmu".

U innego przeczytacie:

„Milcz Kołtuński i nie pchaj nie- [czystego dzioba
myśmy przenicowali twe czarne [sumienie
Nowa Polska nie musi się tobie [podobać
a pieszcząc siebie w myślach nie [udawaj,
że troszczysz się o jej zbawienie".

Nie trzeba dokonywać przeglądu pisma za ubiegłe miesiące, ostatnia poczta przynosi również takie materiały.

Chłopak z koneckiego szydzi:

„W myśl Watykańskiego kanonu
zwrócić się trzeba do Waszyngtonu
I złączyć się silnym węzłem przy- [jaźni
oto czym się papież w Watykanie [błaźni."

Chłopak z powiatu gdańskiego pisze:

„Niech popatrzy kapitał
anglo-saski potencjał
jak lud Polski postokroć
kocha pracę i wolność!"

Te wypowiedzi i podobne im piszą najczęściej chłopi niepartyjni. I to jest zrozumiałe. Partyjni harują i zabiegają o sojusz z bezpartyjnymi i ze średniakami. Wahający się średniak i bezpartyjny częściej folguje chwilom subiektywnego odczucia co się dzieje wokół niego i w stosunku do niego. Ocenia przemiany, ocenia udzielaną mu pomoc i od etapu do etapu reaguje wzruszeniem, którego zapis wielotysięczny przesuwa się przez redakcje pism, często w imię surowych (a raczej konwencjonalnych) kryteriów estetycznych wrzucany do kosza. Pomiędzy błyskami wzruszeń coraz silniejszy na każdym etapie staje się udział w walce i pracy bezpartyjnych chłopów i średniaków. Że tak jest, że tak musi być, o tym wymownie świadczą te zapisy świadomości klasowej, z roku na rok, z miesiąca na miesiąc potężniejące w wyrazie, jasności i czystości ideologicznej.

*

Plenum sierpniowe Zarządu Głównego Z.S.Ch. przedstawionym materiałem sprawozdawczym utwierdza nas w przekonaniu o wielkim przełomie na gromadzie. Hasło III-go Kongresu: „stawiamy na gromadę" nie zostało zawiedzione przez masy. Raczej przeciwnie, to plenum zdało sobie sprawę po paru miesiącach, jak gorączkowo teraz muszą działać wyższe (centralne, wojewódzkie i powiatowe) ogniwa Związku Samopomocy Chłopskiej, aby sprostać potrzebom gromad w ich akcjach, w ich bitwach, podejmowanych coraz ostrzej, coraz szerszym frontem.

To jest rzeczą znaną, że oblicze gromady kształtowała parafia i patronat kułacki. Wiadomo też, że był i jest jeszcze stały aktyw tego frontu na wsi. Jest ksiądz, jest kułak, oni codziennie rozmawiają, oni mają codzienny wpływ na średniaka, oni codziennie odnawiają i okazują swoją przewagę ekonomiczną, bo oni wypożyczają maszyny, pieniądze, ziarno, oni podnajmują do pracy, oni przechwytują w porę i na zapas towary i wszelkie elementy pomocnicze produkcji i zbytu. Oni nadal intrygują, straszą i bałamucą. Jest też rzeczą wiadomą, że na spółdzielczość gminną działają i wahania średniaka i napór bogaczy i napór reakcyjnego kleru i nasza struktura drobnotowarowej gospodarki; spółdzielnie prowadzą wymianę towarową ze wszystkimi na wsi, z bogatymi chłopami również.

Ale też powstał i rozrasta się drugi front na gromadzie. Podczas wyborów do Spółdzielni Gminnych pojawiły się, owszem, wypadki kiedy grupy członków dzieliły się nie klasowo, ale terytorialnie, kiedy broniono kandydatów i kułaków, bo pochodzili z tej samej wsi. Ale to były wypadki odosobnione. Gałaja „Mystkowice", pokazujące wojnę gromad, trwającą dziesięcioleciami to już miniona historia. Historia dnia wygląda inaczej. Przejawiła się ona w ubiegłych wyborach do Spółdzielni, przejawi w wyborach do Komitetów Członkowskich i Rad Kontroli. Ten drugi a szeroki front szykuje się do natarcia zasadniczego. Jest autorytet Samopomocy, gdzie się nie obrócić wszędzie potrzebne zaświadczenia czy opinia Związku i wszędzie ona dużo znaczy. Ale komu i na co były wydane? Oto pierwsze pytanie, które skrupulatnie zrewiduje wszystkie pieczątki, hojnie przykładane do papierków. Oto drugie — komu wydano nawozy, materiał siewny, narzędzia, artykuły konsumcyjne itp. Oto trzecie — komu przyznano kredyty? Dlaczego kredyt na konie dostali jeszcze i ci co mają dwa konie i źrebaka, trzy świnie i dwie krowy? Co zrobił z kredytem na określony cel nabywca? Zamiast konia sprawił sobie wesele? Oto czwarte— sprawozdanie Spółdzielni Gminnej: ile i jakich towarów i na kogo rozdzielono w gminie, co i dlaczego rozsprzedano w miasteczkach gminnych i w centrali gminnej, a do gromady nie doszło?

W kilkudziesięciu tysiącach wsi szykują się ostre bitwy klasowe, które w swoim przebiegu zaprawią ten drugi front do gospodarzenia na gromadzie w swoim zaś wyniku otworzą nowe warunki na akcję siewną, pierwszą pod plony planu 6-letniego, na akcję grup produkcyjnych, które poraz pierwszy dopiero od czasów kułacko - obszarniczych Kółek Rolniczych, od ziemiańskich „Rolników", od związków branżowych, które opiekowały się bogaczami — skupią organizację różnych zakresów produkcji rolnej w rękach chłopów na miejscu, w gromadzie. Znajdzie się pod kontrolą tego frontu chłopów Spółdzielnia Gminna a tym samym obrót towarowy i zbyt, będzie można zatem i warto poprowadzić grupy produkcyjne bez liczenia na sam aparat skupu i dawny instruktarz. Sama gromada postawi przed sobą zadania produkcyjne, co do ilości, standartu, terminu, co do wzajemnej pomocy, wymiany doświadczeń i kontroli. Będzie to jej walka o wzrost zamożności mało i średniorolnych, walka o wzrost ich siły produkcyjnej na wsi, o podstawowy wkład w sojusz chłopsko-robotniczy — o realizację planu 6-letniego, który zakłada fundamenty pod Polskę uprzemysłowioną i socjalistyczną.

Plenum Sierpniowe Zarządu Głównego Z. S. Ch. doceniło dynamikę gromad. Nie patronowanie, nie komenderowanie, „nie schodzenie do chłopa" — przeciwnie, to chłopi chcą mieć referaty, stawiać i uzasadniać projekty, to oni chcą aby ich przez wiele godzin słuchano. To oni chcą wyszkolenia sekretarzy gminnych S. Ch., oni potrzebują przeszkolenia swoich kierowników grup, oni chcą swoją młodzież, swych „prostych ludzi" wyszkolić na kursach, aby podołali coraz bardziej skomplikowanej aparaturze przedsiębiorstwa, jakim się staje Spółdzielnia Gminna. Oni chcą frontowi bogaczy i reakcji przeciwstawić *stały aktyw, stałe kadry* na gromadzie i chcą i chcą szkolenia.

Chcą zatem szerokiego i głębokiego sojuszu chłopsko - robotniczego. Pragną go we wspólnej z robotnikami ideologii, bo „to nic, że moja matka nie zna Engelsa i Marksa, skoro w mojej bibliotece znajdują się książki twórców socjalizmu" — jak pisał chłop z kieleckiego. Pragną go w akcji łączności robotników ze wsią, nie tylko w akcji gospodarczej ale również, ale przede wszystkim politycznej i kulturalnej. I jak najczęstszej jak najdłuższej, jak najbardziej uczącej, jak najbardziej pomagającej do wyrównania sojuszowi robotniczemu w produkcji rolnej, jej postępie, jej wyższej organizacji społecznej, w zwycięstwach walki z kułakiem na wsi, z wyzyskiem i wstecznictwem.

Postawiliśmy na gromadę, gromada stawia na nowy ustrój!

Bo jak pisał Lenin: „Klasa robotnicza, robotnicza partia komunistyczna, zdając sobie sprawę ze swego zadania, uporczywie, cierpliwie, szeregiem stopniowych etapów, budząc świadomość pracującej części chłopstwa i idąc naprzód tylko w miarę budzenia się tej świadomości, tylko w miarę samodzielnego organizowania się chłopów, posuwa się drogą ku nowemu socjalistycznemu budownictwu".

Jan Aleksander Król

DM 57/02

WITOLD WROŃSKI

NAUCZYCIEL WALCZY O POKÓJ

Międzynarodowa Federacja Zw. Nauczycielkich powzięła doniosłą i słuszną decyzję w sprawie współpracy ze Światową Federacją Związków Zawodowych. Dla podkreślenia roli nauczyciela w budowaniu kultury nowego świata Międzynarodowa Federacja Związków Nauczycielskich uznana została za Pierwszy Departament Zawodowy Światowej Federacji Związków Zawodowych. W wielu krajach organizacje nauczycielskie walczą wspólnie z postępowymi organizacjami robotniczymi, chłopskimi i młodzieżowymi o ideały demokracji i stoją w jednym szeregu z bojownikami o wolność i trwały pokój. Ścisła współpraca nauczycielstwa z obozem demokracji ludowej obala sztuczne bariery, celowo wznoszone przez siły reakcji dla odizolowania pracowników umysłowych od klasy robotniczej. Akcja ta ma na celu osłabienie sił postępowego nauczycielstwa, a tym samym klasy robotniczej. Zrozumienie konieczności współpracy z klasą robotniczą wzrasta wśród organizacji nauczycielskich wielu krajów, wzrasta również tendencja do współpracy nie tylko w ramach własnego kraju, lecz w skali międzynarodowej, czego dowodem jest IV Międzynarodowa Konferencja Związków Nauczycielskich i fakt utworzenia Departamentu przy Ś. F. Z. Z.

Te tendencje, nurtujące szerokie sfery nauczycielskie, mają swoje głębokie uzasadnienie w zdobyczach na odcinku oświaty i wychowania krajów postępowych, w przeciwstawieniu do istniejącego stanu na tym odcinku życia państwowego w krajach kapitalistycznych.

KAPITALISTYCZNA OŚWIATA

Na terenie Marokka na milion dzieci muzułmańskich w wieku szkolnym, tylko 86.000 uczęszcza do szkół tzw. muzułmańskiego nauczania; studenci uniwersytetów żyją w niesłychanej nędzy a uniwersytety nie mogą się należycie rozwijać z powodu braków kredytów i subwencji.

Korea pod okupacją japońską przechodziła najbardziej ciężki okres w ciągu całej swej historii. Naród pozbawiony był praw politycznych, wolności słowa i prasy, a celem „oświaty" było zmusić młodzież koreańską do posłuszeństwa i wyznawania „ideologii kolonialnej". Po uwolnieniu Korei północnej spod jarzma japońskiego, nauczycielstwo dokonało olbrzymiej pracy nad przygotowaniem nowego, demokratycznego ustroju szkolnictwa powszechnego. Podczas gdy w czasie okupacji japońskiej na terenie Korei północnej istniały 1372 szkoły powszechne i 115 szkół średnich i technicznych, gdzie pobierało naukę 910.000 dzieci, w trzy lata po wyzwoleniu tj. w roku 1948 czynnych było 3245 szkół powszechnych oraz 947 szkół średnich i technicznych, w których naukę pobierało 1.740.000 uczniów. Rozpoczęto akcję likwidowania analfabetyzmu poprzez szkoły wieczorowe i kursy dla młodzieży robotniczej i chłopskiej. Jakżeż inaczej sprawa przedstawia się na terenie Korei południowej, gdzie w roku 1946 było 385 szkół średnich, a w roku 1947 pozostało ich 376. Lepsze zabudowania szkół wyższych zamienione zostały przez władze amerykańskie na szkoły tańca, kawiarnie i kluby. Postępowe nauczycielstwo południowej Korei prowadzi wspólnie z klasą robotniczą nieustępliwą walkę przeciw antyoświatowej polityce władz amerykańskich.

Na Węgrzech kapitalistycznych sprawy oświatowe były całkowicie zaniedbane. Dla większości dzieci robotniczych wiek lat 10 był równocześnie końcem nauki. Uniwersytety i szkoły średnie stały jedynie otworem dla dzieci klas uprzywilejowanych. Dzieci robotnicze i chłopskie, stanowiące większość dzieci w wieku szkolnym narodu węgierskiego, reprezentowały zaledwie 5 proc. uczniów, a na uniwersytetach procent ten był o wiele mniejszy. Ludowa Demokracja węgierska przeprowadziła całkowitą nacjonalizację szkolnictwa, aby przede wszytkim skończyć z zacofaniem i analfabetyzmem. Została stworzona 8-klasowa szkoła podstawowa, która wszytkim dzieciom bez względu na pochodzenie, religię, zapewnia ogólne podstawowe wykształcenie. W roku 1938 kształciło się w węgierskich szkołach średnich 30.000 uczniów, a w roku 1949 ponad 70.000.

W Polsce przedwrześniowej system szkolnictwa i jego treść dostosowane były do potrzeb klas posiadających. Wpływ nauczycielstwa na kształtowanie się oświaty i wychowania był ograniczony do minimum. Wielostopniowe szkolnictwo i tzw. "ślepe ulice", nie zezwalały absolwentom seminariów nauczycielskich na studia uniwersyteckie, były najlepszym wyrazem tendencji rządowych. W roku 1939 młodzież robotnicza i chłopska w szkołach średnich i ogólnokształcących stanowiła 13,7 proc. ogółu uczniów, a w tym przeważały dzieci bogatych chłopów. Nie lepiej kształtowała się również sytuacja na odcinku zawodowym, gdzie nauczyciel szkoły powszechnej społecznie nie dorównywał granatowemu policjantowi.

NAUCZYCIEL WALCZY

W momencie, gdy starły się dwa światy: świat postępu i świat zacofania, wzrasta szczególnie społeczna rola nauczyciela jako wychowawcy. I tam właśnie, gdzie walka o oświatę robotniczą i powszechną wchodzi na porządek dzienny, rola nauczyciela jest niezmiernie doniosła. Oczywiście intencją tych, którzy chcieliby utrzymać stan ciemnoty i zacofania dla celów panowania klasowego, jest całkowite ograniczenie dostępu do szkół dla tych elementów, które w państwie są najbardziej żywotne i aktywne. W walce o powszechną oświatę, o likwidację analfabetyzmu, o postępowe oblicze społeczeństwa dostrzegamy elementy walki o pokój. Zadania, które spadają na nauczycielstwo są dwojakie: w państwach Demokracji Ludowej, nauczyciel winien przyspieszać proces socjalizacji; tam natomiast, gdzie wszechwładnie panuje kapitalizm, winien podjąć walkę z ciemnotą i zacofaniem. Nauczyciel winien walczyć z kosmopolityzmem i tendencjami separowania szkoły od współczesnych prądów społecznych, z teorią szkoły apolitycznej.

Wychowanie w duchu demokratycznym można prowadzić jedynie wtedy, jeżeli otwarte są szerokie pespektywy awansu społecznego dla szerokich mas ludu pracującego. Tam, gdzie szkoła zarezerwowana jest dla klas uprzywilejowanych nie ma mowy o wychowaniu obywatela w duchu potępu. System szkolnictwa, który uniemożliwia masom ludowym dostęp do wyższych uczelni, staje się ekskluzywny i antydemokratyczny. A zatem należy prowadzić walkę o system szkoły otwartej, bez „ślepych uliczek", dającej każdemu obywatelowi możność kształcenia się wedle swej woli i uzdolnień, o naukę w języku ojczystym dla każdej narodowości.

Drugim warunkiem wychowania w duchu demokratycznym jest stworzenie takiego systemu szkolnictwa, który by gwarantował równy start wszystkim kontynuującym studia. Dzieci mas pracujących w pierwszym rzędzie winny docierać do studiów wyższych, im zapewniona winna być przez państwo i społeczeństwo pomoc materialna i moralna.

NA DWÓCH KRAŃCACH

Wychowanie w duchu demokratycznych zakłada, że celem szkoły jest ukształtowanie świadomych obywateli w służbie dla społeczeństwa i demokracji. Sprawa zaś demokracji jest sprawą wolności i jej treść zawiera zniesienie wyzysku człowieka przez człowieka. Jeśli poddamy analizie treść nauczania w szkołach ustroju kapitalistycznego, to cel wychowania „demokratycznego" zawiera w sobie specyficzną dwoistość, bowiem z jednej strony głosi się apolityczność, lojalność wobec państwa i wpaja się zasady obowiązków obywatelskich, bez uwzględnienia stosunków społecznych. Z drugiej zaś strony wpaja się wychowankom ideały przepojone duchem konserwatyzmu, co w rezultacie sprowadza się do wychowania hołdującego interesom klas posiadających. Obywatela amerykańskiego wychowuje się w duchu interesu, co sprowadza się do tego, że wszelka pomoc człowieka dla człowieka winna być odpłatna i pozbawiona elementów bezinteresownego miłosierdzia. Jeśli „pomaga się" jakiemuś państwu lub narodowi to tylko dlatego, aby mieć z tego w przyszłości korzyści.

Dzieci naucza się prawideł krążenia pieniądza, zasad ekonomicznych oraz przepisów prawnych odnoszących się do tego procesu. To też nic dziwnego ,że tak wychowany obywatel nie jest wrażliwy na nierówność społeczną, bogatych i biednych, jak również na niedolę ludzką; stąd też nieludzki stosunek do murzynów w Ameryce jest niewątpliwie rezultatem wychowania. Na Zachodzie wiele szkół pozostaje w rękach prywatnych, gdzie stosuje się różnorodne kierunki i metody nauczania, duch zaś w tych szkołach jest wybitnie reakcyjny i wrogi wszelkiej myśli postępowej.

Inaczej natomiast kształtuje się zagadnienie wychowania o treści prawdziwie demokratycznej w tych krajach, które obaliły ustrój kapitalistyczny. Szkoła kształtuje typ obywatela upolitycznionego i uspołecznionego, który winien interesować się losami swego kraju a w razie potrzeby wziąć udział w kierowaniu jego losami. Wychowanie prawdziwie demokratyczne w krajach socjalistycznych zapewniają następujące elementy ustroju społecznego i kultury tych krajów: — praca wyzwolona z wyzysku, oparta na współzawodnictwie i stąd niezwykłe produktywna, — patriotyzm socjalistyczny, łączący tradycje narodowe ludów z interesami wszystkich pracujących kraju i ze sprawą postępu w interesie całej ludzkości; — poszanowanie człowieka, prawdziwy humanizm, który obejmuje również miłość wobec walczących o wolność, godność ludzką, niepodległość i honor, jak również zawiera nienawiść do ciemiężcy i ucisku.

Wiele prądów w pedagogice państw kapitalistycznych usiłowało zlikwidować w szkolnictwie metody powierzchownej tresury, które pozostawiły w spuściźnie szkoły duchowne. Zwrócono przeto uwagę na sprawę wychowania osobowości, powstała tzw. koncepcja demokratyczna — wychowanie oparto na przesłankach psychologicznych. Pod szyldem wychowania demokratycznego grasuje tu jednak formalizm, hołdujący tendencjom politycznym państwa kapitalistycznego. Zakłada się bowiem, że wychowanie zbiorowe jest samo przez się demokratyczne, niezależnie od składu grupy, jak również od celu wychowania.

Znakomity pedagog radziecki Antoni Makarenko wykazał jednak, że nie można fetyszyzować ani społeczności, ani pracy jako zasad pedagogicznych, i że praca „nie może osiągnąć jakiegokolwiek bądź rezultatu wychowawczego, jeżeli obok niej nie ma wychowania postępowego, wychowania politycznego i moralnego... Możemy nauczyć człowieka pracować jak tylko chcemy; jeżeli nie pozwolimy na jego uczestnictwo w życiu politycznym i społecznym, praca ta nie będzie mogła dać żadnego pozytywnego rezultatu". Nauczanie demokratyczne nie jest sprawą formalnej metody, która maskować może antydemokratyczne tendencje pedagogiczne. W krajach o ustroju kapitalistycznym wychowanie demokratyczne opiera się o zasady wyłącznie formalne: — o formalną wolność szkolną, która w gruncie rzeczy uniemożliwia dzieciom pochodzącym z warstw pracujących dostęp do szkół wyższych; — o formalne wychowanie obywatelskie, które tworzy potulne obiekty dla rządów klas posiadających; — metody formalnie demokratyczne pozbawione właściwej treści, przystosowane dla celów polityki imperialistycznej.

W obozie krajów postępowych na odcinku prawdziwego wychowania demokratycznego i w obliczu walki z siłami ciemnoty i wstecznictwa osiągnięto niewątpliwe postępy: ustanowiono wolność nauczania, zabezpieczono dostęp do szkół dzieciom ludu pracującego, stworzono typ wychowania obywatelskiego, którego treścią jest poszanowanie człowieka walczącego o wolność i godność ludzką przeciw ciemiężycielom i wyzyskiwaczom, troska o rozwój kraju socjalistycznego i o budowę socjalizmu w krajach wyzwolonych; wypracowano metodę nauczania, która zapewnia wszechstronny rozwój nowego człowieka, umożliwia rozwój pracy ludzkiej wyzwolonej od wyzysku, uczy odpowiedzialności historycznej wobec sprawy socjalizmu i postępu ludzkiego.

WALCZYMY O POKÓJ

Walka mas nauczycielskich o likwidację kapitalistycznego systemu nauczania i organizacji szkolnictwa jest zarazem walką o nową szkołę, wychowującą nowego obywatela. Walka o wychowanie nowego obywatela jest walką o lepsze jutro, o sprawiedliwość społeczną i pokój między narodami. Likwidując ujemne skutki tradycyjnego wychowania, likwidujemy to wszystko, co różni obywateli, co wprowadza podział narodów na „gorsze" i „lepsze"! Walka o nową szkołę, o wychowanie nowego człowieka jest walką o *pokój między narodami*.

Witold Wroński

Z sali obrad Konferencji Zrzeszenia Zawodowego Nauczycieli przy Światowej Federacji Związków Zawodowych, sierpień 1949.

Delegacja radziecka.

ROMAN ZIMAND

HISTORIA JEDNEGO STRAJKU

Lata 1936/37 to okres nasilenia aktywności obozu rewolucji w Europie. Ostateczne ugruntowanie socjalizmu w ZSRR znajduje wyraz w uchwaleniu Konstytucji Stalinowskiej; we Francji zwycięża Front Ludowy; w Hiszpanii toczy się wojna domowa; w Polsce wypadki lwowskie, strajk chłopski, walka o Front Ludowy, wykreślają linię narastającego buntu mas ludowych.

Strajk pracowników ZNP rok 1937.

Ale już pod koniec 1937 r. kapitalistyczne rządy państw europejskich przystępują do kontrofensywy. W Polsce „pułkownicy" zabierają się do wykończenia „żydokomuny i masonerii". Przykład Niemiec i Włoch spędza sen z powiek rodzimych führerków. Wzmaga się tempo faszyzacji kraju.

Jednym z pierwszych obiektów ataku faszystowskiego rządu stał się Związek Nauczycielstwa Polskiego, w którym kierowniczą rolę odgrywała zwarta i aktywna grupa nauczycieli lewicowych. Temu fragmentowi ofensywy faszyzmu polskiego poświęcona jest ostatnio wydana książka Wandy Wasilewskiej p. t. „Historia jednego strajku" *).

Książka Wasilewskiej podaje historię strajku okupacyjnego pracowników Zarządu Głównego ZNP, który trwał od października do grudnia 1937 r. oraz kilku miesięcy postrajkowych, w czasie których sanacja próbowała zneutralizować rezultaty zwycięskiego strajku.

Oto pokrótce historia strajku i jego następstw:

30 września 1937 r. starostwo grodzkie Warszawa-Śródmieście zawiesiło działalność Zarządu Głównego ZNP i naznaczyło na jego miejsce kuratora, faszystowskiego działacza z Obozu Młodej Polski — Musioła. Nakaz starostwa, motywowany oszczerczymi i nieudowodnionymi zarzutami pod adresem gospodarki. Zarządu, stanowi jeden z punktów programu walki przeciw demokratycznemu nauczycielstwu. W odpowiedzi na decyzję starostwa pracownicy ZNP zorganizowali strajk okupacyjny, który odbył się w lutym 1938 r., prasa inspirowana przez sanację i endecję, prowadziła kampanię przeciwko ewentualnemu wyborowi starego Zarządu. Jednak i tym razem pomimo kampanii prasowej mimo oficjalnych oświadczeń Składkowskiego, reakcja poniosła klęskę: Zjazd wybrał zarząd bynajmniej nie po myśli reżimu. Wówczas zemsta sanacji dosięgła głównych incjatorów strajku. Pod naciskiem rządu i nie bez cichej zdrady socjal-szowinistów ze związków zawodowych usunięte zostały początkowo członkinie komitetu strajkowego Wanda Wasilewska i Janina Broniewska, a następnie znaczna część pracowników fizycznych, którzy stanowili najbardziej bojową grupę strajkujących.

Autorka zaznacza na wstępie, że na treść książki złożyły się jej osobiste wspomnienia. Książka posiada jednak wagę źródła historycznego. Wartość książki Wasilewskiej polega nie tylko na tym, iż w sposób wysoce artystyczny wmontowała w tok opowiadania szereg autentycznych dokumentów. Decyduje tu przede wszystkim doskonałość analizy.

W jednym z listów do matki Kautsky'ego Engels pisze: „...sądzę, iż tendencja powinna samoistnie wypływać z sytuacji i fabuły (utworu literackiego — R. Z.) bez szczególnego jej podkreślania i że pisarz nie jest zobowiązany do ukazywania czytelnikowi w gotowej postaci przyszłego historycznego rozwiązania przedstawianych przezeń konfliktów społecznych". Wydaje się, że „Historia jednego strajku" w zupełności odpowiada temu postulatowi. Książka Wandy Wasilewskiej ukazuje „oblicze dnia" tamtych lat, oblicze walki obozu postępu, oblicze polskiego faszyzmu.

*

Jednym z ciekawych aspektów ukazanej w „Historii jednego strajku" walki klasowej w przedwrześniowej Polsce jest sprawa „rodzimego faszyzmu". Autorka podkreśla, że akcja przeciw ZNP była pierwszym punktem ataku na wolność związków zawodowych. Była to pewna „próba sił". W warunkach wzrastającej faszyzacji kraju wolne związki zawodowe, nawet pomimo oportunistycznej polityki prawicowych socjalistów były „solą w oku" filarów reżimu. Inspektoraty pracy, prześladowana ale wciąż żywotna prasa lewicowa, obowiązek liczenia się z tymi nikłymi swobodami, jakie daje ustrój burżuazyjno-demokratyczny krępowały sanację, instruowaną pogądowo, w jaki sposób likwidowano te problemy w Niemczech i Włoszech.

Akcja, jaką rozpoczął przeciw związkom zawodowym Składkowski, premier i minister spraw wewnętrznych — charakterystyczne dla faszyzmu skupienie władzy — była tylko fragmentem długoletniego, a tylko bardziej na tym polu ostrożnego procesu wprowadzania totalitarnych rządów w kraju. Kształtowanie się ustroju politycznego Polski w zaraniu drugiej niepodległości przypada na okres, w którym zwycięstwo Rewolucji Październikowej, przypływ ruchu rewolucyjnego, zmuszają burżuazję do poważnych ustępstw. Konstytucja marcowa posiada cechy względnego demokratyzmu. Po załamaniu się fali rewolucyjnej w Europie i w kraju, od przewrotu majowego, następuje okres likwidacji demokratycznych reliktów w ustroju Polski.

Pan premier wyjaśnił Sejmowi motywy akcji przeciw ZNP w przemówieniu, zalecającym się zarówno znakomitą polszczyzną, jak i „wnikliwą" analizą działalności Związku: „Z tym Związkiem Nauczycielstwa Polskiego długo się namyślałem, jakby postąpić z nim, to znaczy z jego Zarządem... Tutaj jest np. „Teatr w szkole", gdzie jest przedstawione, jaki ma wpływ wychowawczy teatr w Sowietach... My nie wychowujemy dzieci w teatrze. Tego rodzaju kierunek jest szkodliwy. Jest to kierunek niezgodny z psychiką narodu". Mentalność premiera w proporcji niższego stopnia służbowego reprezentuje kurator „musiołek". Te dwa modelowe typy wielkiego i małego faszysty polskiego zanotowała historia strajku ZNP. Książka Wasilewskiej stanowi kapitalny przyczynek do dziejów faszyzmu w Polsce.

O opanowaniu metody realistycznej przez Wandę Wasilewską świadczy również fakt, iż analiza faszyzmu bynajmniej nie stoi w centrum poruszanych przez autorkę zagadnień. Wprost przeciwnie — Wasilewska ukazuje faszyzm o tyle, o ile jest to konieczne dla naświetlania walki mas pracujących, głównego problemu książki. „Historia" wykazuje, iż *stosunkowo powolna faszyzacja* kraju była m. in. *wynikiem uporczywej walki*, jaką *klasa robotnicza Polski toczyła z sanacją*.

*

Strajk pracowników Zarządu Głównego ZNP nie był z wielu względów strajkiem typowym. Autorka pisze o swoich pierwszych wrażeniach: „Strajk okupacyjny... Bagatelka! Brałem udział w strajkach murarzy w Krakowie. Ale to były strajki murarzy. Co i czy można zrobić z pracownikami tych wielkich gmachów, z pracownikami tak różnorodnymi, z tą gromadą urzędników... Ale pod nami była przecież jeszcze drukarnia i zecerzy...!"

Strajk wybucha w pewnym sensie żywiołowo. Skład klasowy i polityczny strajkujących jest bardzo różnorodny. Większość pracowników umysłowych rekrutowała się z lewego skrzydła obozu piłsudczykowskiego, z szerokiego frontu zdezorientowanych inteligentów, którzy stojąc na pozycjach republiki burżuazyjno-demokratycznej nastawieni byli negatywnie do faszyzmu i jego polskich wyznawców.

Trzon strajku i jego siłę kierowniczą stanowiła nie chwiejna, radykalizowana z trudem masa urzędnicza, a „fizyczni" i grupa aktywnych inteligentów-lewicowców. „Historia" notuje etapy antyfaszystowskiej lekcji, jaką stanowił dla pracowników Zarządu Głównego strajk. „Paniusie", które początkowo wzdrygały się, słysząc słowo „towarzyszko", po tygodniach wspólnej walki śpiewały z zapałem „Czerwony sztandar". Strajk wychowywał ludzi, kruszyła się sztucznie wzniesiona przegroda między „fizycznymi" a „umysłowymi".

Wychowawczą rolę strajku umożliwiała postawa nauczycielstwa polskiego w latach międzywojennych. W akcji pracowników ZNP nie obeszło się bez łamistrajków, sam Musioł był również nauczycielem, jednak podstawowa masa nauczycielstwa w kraju stała na pozycjach demokratycznych.

Konsekwentna polityka sanacji na odcinku szkolnictwa, jędrzejewiczowska reforma, gnębiąca oświatę i utrudniająca pracę nauczycielstwa, zdemaskowały faszyzm dostatecznie jasno. Sanacja starała się jednak wszelkimi sposobami rozbić świat pracy. Jako przykład może tu służyć zachowanie się nauczycieli szkół średnich, i większości pracowników naukowych szkół wyższych.

Oceniając znaczenie solidarności walczących zarówno członków ZNP, jak i innych związkowców (drukarzy, kolejarzy itd.) autorka wskazuje jednak, iż jedyną siłą konsekwentnie popierającą strajk i rozumiejącą w pełni jego istotę i znaczenie, była KPP.

Poruszone tu sprawy nie wyczerpują bogatej problematyki książki Wasilewskiej. „Historia jednego strajku" demaskuje kulisy zdradzieckiej roboty prawicy PPS, ukazuje metody donosicielstwa i prowokacji stosowane przez pisma reżimowe, podkreśla mało zaszczytną rolę kleru i metody wielkomocarstwowców. Książka, obrazująca fragment walki z zakusami faszyzmu, rzuca ostre światło na węzłowe punkty społecznej historii Polski przedwojennej.

Roman Zimand

*) Wanda Wasilewska: „Historia jednego strajku". wyd. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1949.

TADEUSZ ORLEWICZ

HANDLARZE I SPÓŁDZIELNIE NAD PILICĄ

ROZMOWY W POCIĄGU

Linia kolejki, zwanej powszechnie grójecką, biegnie przez Piaseczno, Tarczyn, Grójec do Mogielnicy i do Nowego Miasta. Zaczyna więc swój bieg w Warszawie, przecina powiat warszawski, prześlizguje się wzdłuż powiatu grójeckiego i wciska się na kilkanaście kilometrów wgłąb powiatu rawsko-mazowieckiego, kończąc swoją marszrutę niedaleko od Pilicy. Nic też dziwnego, że kolejką ta obsługuje setki dostawczyń mleka i nabiału do stolicy, a w porze letniej tędy przepływa duża fala drobnicowego i hurtowego transportu owoców, szczególnie z grójeckiego, słynącego z wielkich sadów i płodnych drzew owocowych.

Płynie tędy obfity strumień pokątnych dostawców i pokątnych handlarzy. Smutny obraz wielu łańcuszków w pośrednictwie, które daje żer różnym mniejszym i większym spekulantom, a konsumentowi przynosi towar drogi, bo z dziesiątych rąk.

Obraz ten mówi, że sieć spółdzielcza skupu, która istnieje właśnie po to aby uchronić konsumenta przed zbędnym i kosztownym pośrednictwem, nie wrosła jeszcze w teren tak, jak tego wymaga rynek aprowizacyjny stolicy i potrzeby wsi. Zresztą i w samej spółdzielczości terenowej, nie działo się dobrze, gdy panowało tam kumoterstwo, gdy górowały elementy, rekrutujące się z grona bogaczy i wyzyskiwaczy wiejskich, gdy lęgła się biurokracja.

Kiedy rozmowa w kolejce dotykała tego tematu, wiele obiecywano sobie po nowych wyborach do spółdzielni gminnych, wyznaczonych na dwie pierwsze niedziele lipca.

W kolejce jechał ze mną: chłop z grójeckiego, gospodarz na 3 ha; kobieta, która wiozła z Warszawy puste kosze po truskawkach i druga, która wracała z kilkunastoma bańkami po mleku i z kobiałką, w której było przed tym masło i ser. Ci moi przygodni towarzysze podróży otwarcie stawiali sprawę: do spółdzielni nie dostarczają, bo tam to kręcą nosem, bo za mało dają, a właściwie wszystko dlatego, że „ten czy ów, co siedzi w spółdzielni, to ciągnie i dla siebie i dla swoich kumotrów a na ogół nie dba".

Kim są ci którzy tak ciągną dla siebie i dla swoich kumotrów? Chłop powiedział: „Ma 20 ha, dwóch parobków, robić mu się w roli już nie chce, to i zabrał się do spółdzielni, bo myślał, że tak jak dawniej, co będzie chciał, to będzie robił". Kobieta z kobiałką po truskawkach mówi: „Były sklepikarz, kum ze wszystkimi bogatszymi ze wsi".

HANDLARZE TOWARAMI ŁOKCIOWYMI

W Nowym Mieście widziałem „przy pracy" handlarzy dwóch branż: „łokciowych" i handlarzy bydłem, końmi lub nierogacizną. Ci jeżdżą od jarmarku do jarmarku. W poniedziałek są w Nowym Mieście, we wtorek w Mogielnicy, w środę w Odrzywole.

W dni jarmarczne handlarze tekstyliami rozkładają towar na straganach, towar najczęściej w podlejszym gatunku, choć wzorzysty i bijący w oczy rozmaitymi kolorami. Ceny na towarach są, bo jakże mogłoby być inaczej, ale to tylko dla wątpliwej ozdoby straganiarskiego przedsiębiorstwa. Faktycznie bierze się znacznie więcej.

Chłopa dezorientuje to, że handlarz wcale nie spieszy się ze sprzedażą towaru. Działa tutaj nieuchwytna, a jednak wyraźna zmowa pomiędzy handlarzami, którzy ustalają obowiązujący dla czarnego rynku jarmarcznego cennik i ustalają podział na odpowiednie asortymenty towarowe. Gra również fakt, że miejscowa spółdzielnia np. w Nowym Mieście jest źle zaopatrzona w odpowiednie tekstylia.

Widziałem przy pracy komisję cennikową, złożoną z dwóch osób. Starannie i dokładnie badają rachunki, spisują protokóły w przypadku uchybień, których jest na każdym jarmarku mnóstwo, konfiskują nawet towar (w wypadkach szczególnie jaskrawych). Ale prawdziwych efektów tej kontroli nie widziałem, bo przecież nie można uważać protokółu, konfiskaty czy mandatu za osiągnięcie pozytywne, budujące, twórcze.

Jak zdołałem się zorientować główny trzon komisji jest niezmienny, jak mówią na jarmarku w Nowym Mieście: „ten wysoki, chudy blondyn z Rawy", a więc urzędnik starostwa. Jego pojawienie się na jarmarku jest sygnalizowane z daleka wszędobylska poczta „podaj dalej". Zanim rozpocznie pracę, to co może i powinno być schowane, znika w pobliskich domach, w przygodnych wozach, pod szerokimi spódnicami handlarek. Jeżeli komisja lustruje rząd straganów z teksyliami, przekupnie zawieszają praktycznie sprzedaż, a kupujący staje i albo przygląda się rozprawie komisji z tym lub innym właścicielem straganu, albo czeka aż „nalot" przejdzie. A wtedy po staremu — cena na towarze leży, za inną zaś, znacznie wyższą, idzie sprzedaż.

Jest jakieś dziwne w chwilach „nalotu" porozumienie pomiędzy chłopstwem a jarmarcznymi przekupniami, takie przymierze, jak pomiędzy pijawką a człowiekiem. Komisja odchodzi, a życie idzie dawnym, złym torem, na którym lichwiarz i spekulant zbija pęczniejącą kabzę. Wydaje się, że w konkretnym przypadku takie metody, jak lotne komisje, odpowiednia polityka podatkowa, stanowią tylko częściowe rozwiązanie zagadnienia.

Lotne Komisje są złe, jeżeli składają się wyłącznie z czynników urzędowych. Tu bowiem powinny zagrać całą siłą swego uświadomienia klasowego miejscowe koła i komitety ZSCh., PZPR i St. L. Rozumiem, że dużą rolę w małych miasteczkach a zwłaszcza na wsi gra nieszczęsne kumoterstwo, często wywodzące się w warunkach wiejskich z mocno rozgałęzionego pokrewieństwa czy powinowactwa. Ale uświadomiony aktyw partyjny musi być od tego wolny. Jeżeli więc lotna Komisja cennikowa ma spełnić swoje

zadanie, to chyba trzeba, aby były w niej reprezentowane wsie, które zazwyczaj uczestniczą w jarmarkach, oraz miejski aktyw robotniczy.

Komisja, którą obserwowałem przy pracy w dniu 18 lipca na jarmarku w Nowym Mieście, wykazała mimo swego skromnego składu dużo zalet, ale odznaczała się tym, że praca jej sprawiała wrażenie jeszcze jednej rzekomej odległości, która spada ze strony „władzy" pospołu — na przekupniów i chłopów. Przy akompaniamencie okrzyków pod adresem przypatrujących się pracom Komisji w stylu: „no i czego gęby rozdziawiacie", „czego tu szukacie", „nie wasza sprawa, idźcie sobie stąd" nie dziwi takie nastawienie.

Trzeba, aby w społecznej kontroli cen na jarmarkach było mniej krzyków, a więcej wyjaśnień i pouczeń i to właśnie **pod adresem tych, którzy przyglądają się,** a których przedtem i potem przekupnie potrafią skutecznie podskubać. Nie powinno być tajemnicą dla nikogo ,jak działa taka komisja, bo powołana ona została w interesie obywatelskim i dla walki z bękartami kapitalizmu: wyzyskiem, lichwą i spekulacją. Obywatelowi, który stał na czele takiej komisji w dniu 18 lipca w Nowym Mieście, niech te słowa starczą za usprawiedliwienie, dlaczego — mimo jego okrzyków — nie przestałem przyglądać się kontrolowaniu pierwszego straganu z materiałami.

NA TARGU BYDLĘCYM

Na targu świńskim, bydlęcym i końskim szaleje nadal orgia spekulacji. Na pierwszy rzut oka wszystko toczy się normalnie. Chłop przyjechał z koniem na sprzedaż ten i ów podejdzie, zajrzy w zęby, pomaca tu i ówdzie, pogada, odejdzie. I tak krążą ludzie od konia do konia, od krowy do jałówki. Ale największą ruchliwość wykazuje paru zaledwie osobników. Są to handlarze bydła, koni i trzody chlewnej.

Bardzo mocno dostali oni po łapach właściwą, słuszną polityką władzy ludowej, ale jeszcze gryzą, jeszcze tu i ówdzie złapią potężny ochłap zysku. Niedawno oni to dyktowali ceny i nikt nie mógł sprzedać bez ich względu i nacisku. Działali i jeszcze dotąd działają w ścisłej ze sobą zmowie.

W ubiegłym roku handlarze jeździli wozami po wsiach i w niewiarygodny sposób oszukiwali chłopów przy zakupie trzody chlewnej, zwłaszcza zaś prosiąt. Dziś ten zyskowny dla wiejskich spekulantów proceder urwał się, bo rozpoczęła się zbawienna dla chłopa akcja „H", przyszły odpowiedne zarządzenia, a wieś chętnie je podjęła. Ale akcja „H" nie usunęła np. handlu jarmarcznego prosiętami.

Pewien mój znajomy z Woli Pobiedzińskiej miał 4 prosiaki ważące po 30 — 35 kg. Pojechał z nimi w jedną ze śród majowych na targ do Odrzywoła. Postanowił wziąć po 15 tysięcy za parę, jako że prosiaki były ładne, białe i ponoć pochodziły z rasy dobrych tuczników.

Ledwie wóz z prosiakami wjechał no plac już mój znajomy znalazł się w obrotach handlarza. Po dłuższych targach handlarz kupił prosięta za łączną sumę 23.500 zł, przy czym najwięcej gadania było właśnie przy owych 500 zł, bo tego wymaga taktyka rutynowanego handlarza, a również gra i ambicja chłopa. Dokończono wreszcie targu i handlarz przeniósł prosiaki na swój wóz, a po paru dosłownie minutach owe prosiaki z Woli Pobiedzińskiej znalazły się na wozie chłopa z Rzeczycy, który dał za nie handlarzowi 30.000 zł, a więc dokładnie tyle, ile mój znajomy pragnął za nie otrzymać. Zysk handlarza na tej drobnej dla niego transakcji wynosił 6.500 zł, czyli po 3.250 zł na parze prosiąt. Wpadły one odrazu w ręce handlarza, który już przy wjeździe kupił je za 18 tysięcy zł. W dwie godziny potem innemu gospodarzowi ten sam handlarz sprzedał jedną parę spośród tych samych prosiąt za 10 tysięcy, drugiemu — drugą parę za 9 tysięcy. Na wozie handlarza kwiczał jeszcze piąty prosiak. A zatem dwie godziny przyniosły spekulantowi w zysku 1.000 zł i prosiaka.

Podobnie oczywiście sytuacja wygląda na jarmarkach z bydłem. Nie starałem się wnikнąć w to, czy ten lub inny handlarz bydłem, końmi czy trzodą chlewną ma zezwolenie na swój proceder. To w tej chwili nie jest ważne. Ważna i warta obserwacji jest organizacja pracy tych spekulantów.

Istnieje na jarmarkach zwierzęcych doskonale zmontowana zmowa spekulantów. Czym można wytłomaczyć fakt, że mój znajomy z Gostomi sprzedał swego konia dopiero po 3 dniach targowych i to sprzedał go właśnie handlarzowi za pół ceny?

Działa tu wyraźnie porozumienie pomiędzy poszczególnymi lichwiarzami, którzy komunikują sobie wzajemnie wyniki dotychczasowych pertraktacji i wpólnie ustalają dalsze postępowanie.

Elementy spekulanckie łączy wspólny interes i wspólny cel — opanowania całego placu jarmarcznego — sprzedających i kupujących. Jeżeli chłop przyjeżdża kupić konia lub krowę, znajduje się przy nim doradca, który gdzie potrzeba jak sprawnie i szybko działa lichwiarski monopol skupu.

Kim są ci handlarze jarmarczni? O tym mogą bliżej powiedzieć zapewne odpowiednie władze. Z moich pobieżnych obserwacji i z tego, czego zdołałem dowiedzieć się, wynika, że ta szajka, krążąca od jarmarku do jarmarku, pozornie nie różni się niczym od tłumu chłopskiego. Bo to i tak samo najczęściej ubrani, i twarze mają swojskie, i w obejściu nie wiele się różnią od reszty, a i wozem gospodarskim na jarmark przyjechać potrafią.

Ich aktorstwo i przez to zyskuje, że chłop normalnie na jarmark koński, bydlęcy czy świński rzadko zagląda, może dwa razy w roku, raz może i rzadziej. Nie zna więc tych, którzy stale jak sępy węszą tam żeru. W nocy każdy kot jest szary, a na jarmarku każdy jest dla sprzedającego kupcem. Dopiero obserwacja bliższa przynosi ślady konkretnej zmowy.

Młody ZMP-owiec, syn 1 i półhektarowego gospodarza, który zawędrował ze mną na jarmark w Nowym Mieście, powiedział krótko: „Ci lichwiarze — to bogacze, to kanalie, którym nie chce się pracować, a tylko na krzywdzie ludzkiej żyją".

Kiedy wracaliśmy wieczorem do wsi jeden z gostomiaków tak proponował rozwiązać sprawę: „Pytacie dlaczego tak się dzieje? A no jak się ma dziać inaczej, gdy nasza spółdzielnia daje baczenie tylko na tuczniki. A po mojemu jak akcja „H", to akcja „H" na całego. Ja np. chcę kupić sobie prosiaki. To ja idę do spółdzielni, płacę, tyle ile się należy, biorę prosiaki i jadę do domu. A jak nie ma w spółdzielni prosiaków, to dostaję kwit i na tym kwicie ma być napisane kiedy i gdzie mam te prosiaki za moje pieniądze dostać. Tak to byłoby i chłopu lżej i państwu lepiej, a wszelkie robactwo takie, jakie widzieliście dzisiaj, nie miałoby żeru i wyzdychałoby".

Inny mój znajomy, poważny gospodarz, aktywny działacz SL, mówi tak: „Powinna być jak na tuczniki, tak i na prosięta jednolita dla danego okręgu gospodarczego cena, obowiązująca wszystkich". Odpadną wtedy różnorodne pijawki, bo chłop ulega sugestii ceny powszechnie przez spekulantów narzuconej, nie znając mechanizmu i sprężyn, ceny te nakręcających.

Podobne rozumowania, mniej lub bardziej realne, snuli i inni — tym razem na temat znacznie na razie trudniejszy do urzeczywistnienia: skupu i zakupu koni i bydła. Jest w chłopach głębokie zrozumienie istoty walki z wyzyskiem, jest pełna aprobata dla spraw nowego lepszego jutra. Postawa bierna zaczyna zanikać, bo prawda o walce demokracji ludowej opanowuje coraz silniej myśl i duszę chłopa. Ale wobec krwiopijców z gatunku handlarzy jarmarcznych jeszcze staje bezradny, bo pieniądz jest drogi na wsi, a pieniądza tego często dużo potrzeba. Tylko dalsze wzmożenie walki klasowej i dalsza pomoc rządu robotniczo-chłopskiego może i powinna usunąć i tę bezradność.

zdyskwalifikuje zwierzę, wystawione na sprzedaż, a z reguły ofiarowuje swoje usługi w pośrednictwie, występując zawsze jako wybitny i niezawodny znawca. I transakcja pomiędzy handlarzem a kupującym dochodzi do skutku: handlarz bierze tysiąc lub dwa tysiące za pośrednictwo, albo sprzedaje konia lub krowę, już teraz z drugiej ręki, dobijając sobie znacznie wyższy, spekulancki zysk. Handlarz handlarzowi zazwyczaj w drogę nie wchodzi i każdy z nich może być spokojny, że zwierzę, kupione na jarmarku w Nowym Mieście przez handlarza, a nie sprzedane przez niego na tym samym jarmarku, pójdzie w ręce chłopskie na innym jarmarku za znacznie wyższą cenę.

Handlarze zmonopolizowali hurtowy skup prosiąt. Chłopi gostomscy, wólczańscy i pobiedzińscy mówią, że do wyjątków należy fakt, gdy prosiaki chłop kupi bezpośrednio od chłopa. Wystarczy stanąć przy wjeździe na plac, aby przekonać się, jak sprawnie i szybko działa lichwiarski monopol skupu.

SPÓŁDZIELNIA PRACUJE

W Nowym Mieście jest Spółdzielnia Gminna „Samopomoc Chłopska". Widziałem jej sześć sklepów w samym miasteczku. A jak mnie informowano, jest i sklep siódmy — w Roszkowej Woli. Ponieważ zaciekawiły mnie tekstylia, zawędrowałem na ul. Warszawską, gdzie część sklepu zajmuje właśnie ten dział. Niestety, żadnego z tych towarów, o które chłopi upominali się przy straganach, w spółdzielni nie ujrzałem. Były towary drogie albo towary „niekurantowe", jesienne lub zimowe, poza białym płótnem. Pytam o kreton, bo przed chwilą widziałem jak chłop kupował od sprzedawczyni na targu zwykły kreton w różowe wywijasy w cenie 350 zł za 1 metr. Kretonu w spółdzielni nie ma, był niedawno po 210 zł za 1 metr, ale było go mało i bardzo szybko został rozprzedany. Było to dwa tygodnie temu. Niewielka różnica w czasie, a różnica w cenie kolosalna. Aż 40 proc.! Tyle każe sobie płacić spekulant za to, że chłopu nie starczy cierpliwości na czekanie, aż w spółdzielni dostanie to, czego chce.

Obejrzałem jeden, drugi i trzeci sklep, nie mogłem dostać się do zakładu rzeźniczo-wędliniarskiego, bo był przy drzwiach niesamowity tłok i wiele kolejek. Dwa tygodnie temu, w dzień targowy, z szyb drzwiowych nic nie zostało,, bo jakiś „dowcipniś" pchnął tłum, poleciały szyby i skończyło się na krzyku. Ile w tym „dowcipie" było głupoty, a ile tendencyjnej złośliwości, trudno powiedzieć. Ale ludzie, przeważnie okoliczni chłopi, z „ogonka", obok wymyślań na „dowcipnisia", który w międzyczasie ulotnił się, żalili się, że tak można stać parę godzin i nic nie dostać.

W biurze Spółdzielni Gminnej „Samopomoc Chłopska" dużo ludzi; każdy jest obsłużony szybko przez kierownika spółdzielni, ob. Walentego Chmielewskiego. Nawiązuję z nim rozmowę, przerywaną stale przez telefony lub nowych interesantów, których w dni targowe w żadnej spółdzielni „Samopomocy Chłopskiej" nie brakuje.

Otóż spółdzielnia otrzymuje w Tomaszowie Mazowieckim przygotowany już z góry przydział z uprzednio ustalonym asortymentem. Stąd istotnie częste są fakty, że towary najczęściej poszukiwane przez członków spółdzielni, są przydzielane w minimalnych ilościach, ale za to przysyła się towar drogi i rzadko na wsi poszukiwany (np. ostatnio przydzielono 100 m materiału w doskonałym gatunku na „niewymowne" w cenie ponad 500 zł za 1 metr...) Sytuacja na odcinku polityki przydziałowej, stosowanej przez Oddział Centrali Tekstylnej w Tomaszowie Mazowieckim, ulega ponoć stopniowo wyraźnej poprawie, ale musiało być naprawdę niedobrze, jeżeli poprawa ta nie może choćby umniejszyć rozpanoszenia się spekulantów, jeżeli poprawa ta następuje dopiero pod wpływem interwencji kierownictwa spółdzielni Nowomiejskiej.

Spółdzielnia prowadzi własną masarnię, która obsługuje Nowe Miasto oraz dwie gminy: Lubania i Góra. Masarnia pracuje bez zysków, wyrabia kontyngent, wyznaczony przez Centralę Mięsną, a kontyngent ten przewiduje zaopatrzenie w wędliny przede wszystkim urzędy miejskie i gminne. W projekcie jest otwarcie dwóch sklepów masarskich, przy czym jeden z nich obsługiwałby ludność miasteczka, drugi zaś — okoliczne wsie.

Ale spółdzielnia samopomocowo-chłopska w Nowym Mieście nad Pilicą ma tylko sklepy. Jest ich obecnie 7, w tym, jak powiedziałem, jeden tylko w gromadzie. W najbliższym czasie do tej liczby mają przybyć dwa nowe punkty sklepowe w dwóch wsiach, a mianowicie — w Gostomi i Łęgonicach. O Gostomii zresztą często słyszy się w Nowym Mieście, bo to i wójt gminy Góra z Gostomi i przewodniczący gminnej Rady Narodowej też z Gostomi i gostomska gromada buduje gromadzkim czynem piękny Dom Ludowy bez reklamy, bez rozgłosu i krzyku prasy.

Poza tym spółdzielnia, poza coraz gęstszą siecią sklepów, ma w swoim zarządzie 4 resztówki pomajątkowe, z których jedna zaledwie jest obiektem, gwarantującym opłacalność gospodarczą w warunkach organizacji społecznej. Ta resztówka ma 44 ha powierzchni i przewidziana jest na ośrodek hodowli owiec i zwierząt rozpłodowych. Pozostałe o powierzchni od 5 do 7 ha przynoszą wiele kłopotów i najpewniej wydatków, powinny więc znaleźć się jak najprędzej w puli Funduszu Ziemi.

Ma również spółdzielnia nowomiejska trzy gorzelnie rolnicze, z których żadna dotąd nie podjęła produkcji. Dopiero w bieżącej kampanii gorzelnianej ma ruszyć gorzelnia w Trębaczowie, dla której zakontraktowano już przez spółdzielnię 5.000 metrów kartofli. Plan produkcji przewiduje wytworzenie w ciągu najbliższej kampanii 100 tysięcy litrów spirytusu.

Kontraktacja trzody chlewnej poszła na ogół pomyślnie, a nawet Nowe Miasto wykonało plan kontraktacji w 120 proc.; wsie okoliczne jednak nie dotrzymały placu gospodarzom nowomiejskim. Dla kontrahentów rozprowadzono 100 ton paszy treściwej. Wg sprawozdań spółdzielnia zakupiła w okresie od lutego rb. do 15 lipca rb. trzodę chlewną na ogólną kwotę 38 milionów zł.

Początkowo akcja „H" nie znajdowała w chłopach okolicznych zwolenników, bo reakcjoniści i spekulanci działali, namawiali do sabotażu. Chłop drobnorolny i średniak akcji „H" nie sabotował; do tego nie miał powodu ani sumienia przykładać ręki. Ale trwało ociąganie się. Kiedy jednak wypłacono odszkodowanie za jedną i drugą sztukę, kiedy poczęto dawać premie, atmosfera uległa zmianie, otworzyły się usta i padły ostre słowa chłopskiej nagany pod adresem tych wszystkich, którzy akcji „H" szkodzili w opinii wiejskiej. W spółdzielni nowomiejskiej wypłacono odszkodowanie za 15 sztuk i kierownik Chmielewski jest najlepszej myśli na przyszłość.

Spółdzielnia prowadzi także skup skór reglamentowanych i futer, skup lub wymianę lnu i wreszcie skup jaj. Widziałem taki skup w Nowym Mieście w dniu 26 lipca rb. Za 1 kg jaj płacono 240 zł, czyli mniej więcej po 12 zł za 1 jajko. Jaja zakupione natychmiast pakuje się do odpowiednich skrzyń i dostarcza do magazynów właściwej Spółdzielni Mleczarsko-Jajczarskiej. Trzeba przyznać, że skup ten odbywa się sprawnie i szybko. Jaką odgrywa rolę? Niewątpliwie ma duże znaczenie dla naszej gospodarki, nie tylko dlatego, że jaja są poszukiwanym artykułem eksportowym, ale również dlatego, że zmagazynowany zakup odgrywa bardzo skutecznie swoją rolę interwencyjną. Wyniki tego typu działania znają mieszkańcy wielkich miast, zwłaszcza w przededniu większych świąt, kiedy jaja nagle znikają w sklepach prywatnych, by gdzieniegdzie ukazać się po spekulanckich cenach. Wtedy właśnie rusza aparat interwencyjny C.S.M.J. i określona ilość jaj, rzucona na rynek w odpowiednim czasie, utrąca wszelkie możliwości spekulacyjne. Ale na tym rola zorganizowanego spółdzielczo skupu jaj nie kończy się. W tym samym dniu pod koniec targu sprzedawano jaja po 11 zł za sztukę, a więc taniej niż oferowała spółdzielnia.

I wreszcie na koniec osiągnięć, a raczej najbliższych pozytywnych planów spółdzielni zapisać należy dokonanie zamówienia zakupu nawozów sztucznych na sumę ponad 7 milionów zł oraz uruchomienie ośrodka maszynowego w Łęgonicach, który będzie mógł z powodzeniem obsłużyć gospodarstwa w Nowym Mieście i w gminie Góra, a więc teren obejmujący ponad 20 gromad.

Spółdzielnia jest, pracuje i realizuje ambitne plany. Ostatnio odbyły się wybory do Zarządu; weszli nowi ludzie z Kwaśniewskim Wacławem, energicznym i ruchliwym członkiem PZPR, na czele. Powinna oczyścić się radykalnie atmosfera, przesiąknięta do niedawna kumoterstwem i intryganctwem. Nowi ludzie, klasowo rozumiejący rzeczywistość, powinni w spółdzielni wzbudzić nowe życie, tym bardziej, że zamiast dotychczasowych 700 członków będzie ona liczyła około 2000 (w następstwie uchwał III Zjazdu ZSCh). Dziś obroty jej sięgają 16 milionów zł miesięcznie, za miesiąc mogą się podwoić i potroić. Ale mimo oddania sprawie i gorliwości ze strony nowego Zarządu, nie można pominąć milczeniem faktu, że personel spółdzielni jest bardzo a bardzo słaby, że przy dużych obrotach ten słaby personel w liczbie 27 osób (bez kierownika i Zarządu) pracuje z najlepszą wolą, ale przy mizernych kwalifikacjach pracowników wyraźnie cierpi na tym spółdzielnia. Miejscowa Komisja Rewizyjna, działająca pod przewodnictwem prof. Jerzego Dawisona, stwierdziła, że spółdzielnia pracuje na najniższych w województwie kosztach handlowych. I tak m. i. miesięczny fundusz płac nie przekracza 240000 zł, a więc jest to 1½ proc. obrotu. Ale to nie jest objaw zbyt pocieszający, gdy praktyka wykazuje poważną nieudolność personelu. Trzeba wołać wielkim głosem o jak najszybsze przeszkolenie ogólno-handlowe całego personelu spółdzielni gminnych, trzeba domagać się, aby Centralny Urząd Szkolenia Zawodowego ewentualnie CZS, szkoliły przede wszystkim **gminniaków,** tych, którzy prowadzić będą gromadzkie sklepy spółdzielcze, akcję kontrolowania, akcję skupu zboża itp. To, co dziś dzieje się w terenie na tym odcinku, jest na dłuższą metę szkodliwe w swych skutkach, a i na dziś nie przynosi plusów spółdzielczości gminnej.

W drodze z Nowego Miasta do Gostomi myślę o bezmiarze entuzjazmu i wiary w nowe budownictwo, entuzjazmu i wiary, które ludziom bez odpowiednich kwalifikacji pozwalają tworzyć lepsze warunki dla najszerszych rzesz ludzi pracy. Tym ludziom należy się nie tylko uznanie, podczas gdy spotyka ich często dyskwalifikacyjna nagana, ale należy się im pomoc fachowa, życzliwa rada i opieka.

Tadeusz Orlewicz

WACŁAW SZUMSKI

DROGA KOMUNISTY

Dziesięć lat temu, na drogach wiodących do Warszawy, niedaleko miasteczka Ożarów, padł śmiercią żołnierza *Marian Buczek*. Wymowa tej śmierci jest wstrząsająca. Dwadzieścia lat istniał reżim sanacyjny. Przez szesnaście lat Marian Buczek był więźniem sanacji. Żył w walce o Polskę — taką, jaką widział oczyma komunisty, bojownika o wolność ludu.

Marian Buczek.

Druga wojna ujawniła światu walczących od lat a — o ironio losu — nieznanych najczęściej dotąd — bohaterów, tych, których w pierwszym rzędzie wychowały partie komunistyczne różnych krajów. Bo wszędzie, gdzie świstał bicz faszyzmu, gdzie podpełzała brunatna swastyka, gdzie wolnemu narodowi groziła brutalna napaść i przemoc faszystowska — wszędzie obrońcy ludu stawali w pierwszych szeregach walczących. Takimi byli Gabriel Péri i Fuczik, Marceli Nowotko i Marian Buczek. Takimi były tysiące anonimowych bohaterów przedwojennego podziemia.

Siłą, która konsekwentnie wskazywała na niebezpieczeństwo faszyzmu byli komuniści. Znany działacz KPP, Julian Brun-Broniewicz, pisał w „Odpowiedzi komunisty na deklarację Koca":

„Obrona niepodległości jest nie tylko koniecznością, ale jest dziś sprawą szczególnie ostrą i aktualną, bo niepodległość Polski jest dziś bardziej zagrożona niż kiedykolwiek... Polska graniczy na wschodzie i na południu z ZSRR i Czechosłowacją, równie jak ona zagrożonymi przez potęgę hitlerowskich Niemiec i gotowymi do porozumienia z Polską w imię utrzymania pokoju. Polityka sanacji odrzuca wyciągnięte ku Polsce ręce...

Polska jest dla klas posiadających Polską tylko dopóty, dopóki zapewnia im przywileje i zyski. Wolą raczej zagładę Polski, niż Polskę robotniczą i chłopską. Wolą Polskę oddać raczej Hitlerowi niż ludowi polskiemu".

Komuniści odsłaniali narodowi prawdę. Walcząc z krzywdą społeczną i wszelkim uciskiem w państwie burżuazyjnym, zepchnięci do pracy podziemnej, odsiadujący ciężkie wyroki sądowe, byli sumieniem narodu. Ich prawdziwy, ludowy patriotyzm łączył się z walką o wyzwolenie społeczne. Życie Mariana Buczka jest wielkim przykładem zjednoczenia tych dwóch elementów walki i pracy komunisty.

Życie Mariana Buczka to nie tylko dzieje szesnastoletniej kaźni więziennej, nie tylko dzieje niestrudzonej pracy wychowawczej „najstarszego więźnia sanacji", który zdobywaną przez usilne studia więzienne, wiedzę teoretyczną przekazywał młodym towarzyszom, kształcił nowych bojowników, a codziennym oddziaływaniem chronił przed załamaniem i przygotowywał do dalszej walki. W życiu Mariana Buczka także nieliczne lata wolności mają niezwykłą wagę. W latach tych Buczek wysuwa się na czoło obozu rewolucji, a postawa jego staje się symbolem dróg ideologicznych proletariatu polskiego.

W latach pierwszej wojny światowej młody Buczek walczy w szeregach legionów, wierzy, jak wielu, w nową Polskę, ojczyznę wolnych ludzi pracy.

W roku 1918 rodzi się wolna Rzeczpospolita, o której marzyły pokolenia. Tworzy się Rząd Lubelski, łopoczą czerwone sztandary na murach miast, w Czerwonym Zagłębiu i w całym kraju powstają Rady delegatów pracujących miast i wsi.

Marian Buczek w szeregach PPS Lewicy organizuje władzę ludową na Lubelszczyźnie, tworzy Milicję Ludową. Jest pełen entuzjazmu i twórczej energii.

Doświadczenia Mariana Buczka w tym okresie stanowią w skrócie lekcję jakiej polskim masom ludowym udzieliło dwadzieścia lat II-ej niepodległości, dwadzieścia lat zdrady agend burżuazyjnych w ruchu robotniczym.

Prawicowe kierownictwo PPS wydaje rozkaz rozbrojenia Milicji Ludowej — siły zbrojnej ludu, która chronić miała Rząd Lubelski. Marian Buczek opiera się rozkazowi. Prawicowe kierownictwo PPS wydaje doświadczonemu bojowcowi rozkaz przejścia z grupą dywersyjną na stronę radziecką. Marian Buczek pisze: „Odmawiam wyjazdu na pracę kontrrewolucyjną przeciw władzy radzieckiej i przystępuję do opozycji PPS".

Osadzony na zamku Lubelskim, jako pierwszy więzień „ludowej" Polski, wychodzi Buczek po dwóch latach już skrystalizowany ideowo.

Wraz z grupą PPS-lewicy staje Buczek w szeregach KPRP, przechodzi drogę, jaka wiedzie nieobałamucony proletariat polski w szeregi partii walczącej o rewolucję socjalną.

W szeregach Komunistycznej Partii Polski przechodzi Marian Buczek wielką szkołę rewolucji, w codziennej walce uczy się marksizmu-leninizmu. Uczy się trzeźwej oceny sytuacji własnego narodu i sytuacji proletariatu świata.

Osadzony wkrótce ponownie w więzieniu na lat osiem, wychodzi w roku 1929. Człowiek, który przesiedział 10 lat w więzieniu, staje do pracy konspiracyjnej, jako jeden z czołowych działaczy KPP. Towarzysze podziwiają jego energię i zapał, trafną analizę sytuacji politycznej, talent organizatora i wychowawcy.

Robota partyjna w Warszawie, kierowanie organizacją partyjną w Katowicach, praca w Zagłębiu Dąbrowskim, potem znów Warszawa — to kolejne etapy krótkich lat wolności Mariana Buczka. W roku 1933 ma miejsce wielka „wsypa" Komitetu Warszawskiego. Policja otoczyła dom, w którym odbywało się zebranie partyjne, wygarniając czołowych działaczy KPP. Wpadł wówczas w ręce defensywy Marian Buczek, sekretarz Komitetu Warszawskiego.

Nowy wyrok opiewa na 10 lat więzienia. Marian Buczek staje się reprezentantem rzesz więźniów politycznych, osadzonych w więzieniach sanacji. Żądanie uwolnienia Mariana Buczka, ciężko chorego po latach kaźni, wysuwają robotnicy na setkach wieców i masówek. W roku 1938 Wanda Wasilewska pisze: „Po stokroć narażał się Marian Buczek na śmierć za wolność — niechże ci, którzy walczyli z nim razem, pomyślą teraz o tym, by nie umierał patrząc w okno przecięte kratą".

Gdy nad Polską zawisła bezpośrednio groźba agresji niemieckiej, więzienia Rawicza, Grudziądza, Warszawy, Wronek, osławiony obóz Berezy, zapełnione były komunistami — „wrogami Polski". Oni to właśnie we wrześniu i w późniejszych bojach zadokumentowali przelaną krwią swą wierność i oddanie ojczyźnie. W dniach burzy wojennej otwarły się wrota więzień politycznych. Setki, tysiące zmęczonych i wycieńczonych pobytem w celach ludzi poszły, by na polach bitew bronić ojczyzny przed faszyzmem. Taka postawa komunistów wiązała się organicznie z całokształtem ich działalności społecznej i trudnej, wytężonej walki o lepszą przyszłość Polski, o jej całkowite wyzwolenie społeczne, o jej niepodległy byt.

Gdy przyszły lata ciężkich doświadczeń dziejowych, komuniści, którym historia tylekroć przyznawała rację, stanęli w czołowych zastępach żołnierzy w walce o wolność i niepodległość narodów.

Manifestacja Komunistycznej Partii Robotniczej Polski w Łodzi, rok 1919.

Proces komunistów w roku 1927.

Stanął na czele zdradzonego, porzuconego, zapomnianego przez dowództwo oddziału żołnierzy Marian Buczek, ten, który jeszcze poprzedniego dnia spoglądał i tęsknił do wolności za żelazną kratą Rawicza.

W bitwie pod Ożarowem zginął Marian Buczek, więzień sanacji, wierny do ostatka Polsce bohaterski żołnierz.

Jego życie wplecione zostało w dzieje wielkiego procesu wykuwania się nowej Polski. Jego dzieło prowadzą dziś dalej w Polsce Ludowej, nieugięcie, jego współtowarzysze z więzień i okopów frontowych, jego dzieło żyje i zwycięża wszędzie tam, gdzie toczy się walka o wolność, o pokój, o lepsze jutro narodów.

JÓZEF POGAN

W KRĘGU ROBOTNICZYM I W KRĘGU DWORU

Gdy wspominam tragiczny wrzesień roku 1939, przychodzi mi na myśl życie wsi w okresie dwudziestolecia międzywojennego. W okresie, który między jedną a drugą burzą zapisał się w pamięci społeczeństwa ponurą statystyką. By ją choć częściowo na tle wsi odtworzyć, uciekam się do przykładów dwóch wsi w powiecie olkuskim koło Ojcowa.

Wieś pierwsza — to Jerzmanowice (gm. Sułoszowa), gdzie się urodziłem i 22 lata przeżyłem; wieś druga — to Będkowice (gm. Cianowice), gdzie przeżyłem 18 lat.

Obie wsie, oddzielone pięciokilometrową przestrzenią, leżą tuż przy byłej granicy austriackiej, toteż ich uboższa ludność zajmowała się przed pierwszą wojną na większą skalę przemytem spirytusu, tytoniu i zapałek. Więc sposób zarobkowania, a zatem i życia był w obu wsiach jednakowy. Ale zaraz po wojnie ten stan się zmienił: biedniejszej ludności Będkowic otwarła się droga do leżących poza poprzednim kordonem granicznym dworów i związana z tym swoista pańszczyzna; natomiast ludność Jerzmanowic musiała szukać wyjścia dalej, „w świecie". I ta właśnie różnica odpływu do pracy zarobkowej odegrała pewną rolę w przyśpieszeniu lub opóźnieniu narastania świadomości społeczno-politycznej mieszkańców obu wsi. Zbliżona do środowiska robotniczego, ludność Jerzmanowic nabierała uświadomienia szybciej; ludność Będkowic, wprzągnięta w jarzmo sąsiednich dworów, nie budziła się długo. Dopiero może po dziesięciu latach, gdy zarówno w przemyśle jak i w rolnictwie brakowało pracy, gdy biedniejsza ludność skazana została niejako na los żebraczy — świadomość społeczno-polityczna mieszkańców obu wsi zaczęła się powoli wyrównywać.

I

W KRĘGU ROBOTNICZYM

Zaraz po pierwszej wojnie „zbędni ludzie" Jerzmanowic, nie znajdujący w pobliżu zarobków, poszukiwali pracy dalej: w kopalniach Zagłębia Dąbrowskiego. Przeważnie synowie biednych i średniorolnych gospodarzy. A ponieważ średniaków było tam i jest nadal najwięcej, przeto sporo młodzieży do Zagłębia odpływało. Było z tego zadowolenie zarówno wśród rodziców, jak i wśród pracujących na siebie dzieci. Często przecież słyszało się: — „Żeby ino jako pore lot przeżebrać biede, bo jak chłopaki dorosno, to pódo na Dąbrowo i bede jeść chyb". Albo: „Mom w tyłku te marne zogony... Pódo na Dąbrowo i bede se żył... Hoho, na wieś już nie wróce, bo ni mom po co... Ożynie sie w Zagłębiu i bede robił do us... śmierci".

Szalona, bezustanna dewaluacja pieniądza, skaczące z dnia na dzień ceny towarów, nie przerażały robotników. Pocieszali się nadzieją stabilizacji walutowej, a tym samym poprawą swego losu. Na niedzielę czy święta przyjeżdżali do wsi dumni, poważni, schodzili się w grupki, popijali sobie i strzelali z dynamitu. Zaczynali mówić „po pańsku", żartowali sobie z gwary, z prymitywnego, wiejskiego życia, z obyczajów, a nawet z „ojcowskich zagonów", z fanatyzmu religijnego itp. Interesowali się też sprawami społeczno-politycznymi, godząc przede wszystkim w bałamucenie ludności przez kler, w magnatów i fabrykantów, a także w gburowatych bogaczy-chłopów.

Stabilizacja pieniądza, czyli zmiana marek na złote, nie przyniosła robotnikom poprawy losu, a jerzmanowickim — „upragnionego szczęścia". Zarobki były nadal marne i nie było nadziei na ich poprawę. Przeciwnie — sytuacja zaczęła się nawet pogarszać, bo wnet poszły powolne redukcje robotników. To zachwiało pozycją wiejskich proletariuszy, ba, nawet średniorolnych, gdyż nie mieli nadziei na wysłanie swych dzieci do pracy w mieście. A gdy redukcje poczęły się rozszerzać, powstawał we wsi „kult ziemi".

— „Wszystko za nic, nojlepsy swój jaki taki zagon i chałupina — powtarzano. — Kopalnio i fabryka ino na tymcasym... Ni ma to jak własne zochylisko..."

Szukano więc tych „zachylisk" Biedniejszy chłopak żenił się z brzydką i starą panną, nawet z wdową, aby tylko miała kawałek ziemi. Również dziewczęta byle jak wychodziły za mąż. W domach biedniejszych rodzin robiło się ciasno: zięć czy synowa z teściami, razem żonaty syn czy zamężna córka, nierzadko przy starych dziadkach — wszystko zaczęło „gnieść się razem na kupie". A kto miał za co, kupował jaki stary chlewik i na otrzymanej działce klecił chałupinkę. Chów owiec zwiększył się w dwójnasób. Nie bez racji chyba śpiewały dziewczęta o tych „zachyliskach":

„Mówili se chłopcy, jo ich [podsłuchała,
Zyniłbym się z kozą, zeby morgi [miała".

Bogatsi gospodarze zaczęli coraz bardziej górować i drwić z byłych robotników: — Dzis downo strzyloł z dynamitu... downo nie chcioł patrzyć na ziemie... Teroz jakosik pokochoł zogony... robi na nich i owce po nawsiu poso..."

„Umiłowanie ziemi" doszło do tego stopnia, że nie było zebrania, na którym by nie przemawiano o „najdroższych i świętych zagonach". Takim mówcą w Jerzmanowicach był prezes Kółka Rolniczego, Stanisław Odrobina. Stał się on pośmiewiskiem znacznej części chłopów, przeważnie biedniejszych i młodszych. Nie rzadko chłopacy i przed kościołem przedrzeźniali go: „Najdrozse zogony".

„Stateczni, poważni gospodarze nie mogli znieść tej rozpusty i wykolejenia dziadów. Bo jakże to? „Ziemia żywi, ziemia odziewa, roboty w kopalniach wzięły w łeb, a ta podła hołota przedrzeźnia gospodarzy i zagony!" Zaczął się niebywały antagonizm między bogatymi a biednymi. Bogatsi przymilali się organiście, księdzu, baldachim nad nim nosili, a biedniejsi, zależnie od uświadomienia, patrzyli na nich zazdrośnie lub drwiąco.

II

W ZASIĘGU DWORÓW

Gdy w Jerzmanowicach zaczęły się już na dobre przejawiać odruchy świadomości społecznej i zaostrzyła się walka klasowa, w Będkowicach wszystko było jeszcze niemal po dawnemu. Uboższa ludność zadawalała się zarobkami w pobliskich dworach. Tam pracując, nie przynosiła do wsi żadnego uświadomienia społeczno-politycznego, najwyżej westchnienie do Boga nad własnym przemęczeniem i biedą. Oczywiście, było we wsi paru nieco uświadomionych lewicowców — biedaków, lecz ich stosunek do złego ustroju był tłumiony przez „przywódców" wsi, klerykalnych bogaczy, za którymi opowiadała się większość ludności. Bo jak od wieków, tak i przez pewien czas po wojnie — poważano i szanowano tylko pobożnych bogaczy i im we wszystkim wierzono. Ci nadawali całej wsi ogólny ton. Cóż mogło znaczyć paru postępowych biedaków bez poparcia robotników? Działali jakby „sami dla siebie" i stali się w oczach większości demagogami, występującymi przeciwko uświęconym tradycjom, religii, moralności itp. Przegrywali więc w słusznej sprawie nie tylko z bogaczami i klerykałami, ale nawet i ze średniakami, a częściowo i z wyrobnikami dworskimi, którzy, jeśli nie byli ich przeciwnikami, to przynajmniej byli obojętni na sprawy społeczno-polityczne. Oczywiście, że zdarzały się sarkania na zły rząd, lecz najczęściej dopatrywano się w swej biedzie i poniżeniu przeznaczenia losu, kary boskiej itp. O socjaliźmie nikt nie myślał i na listę socjalistyczną mało kto w czasie wyborów głosował.

Przyszedł jednak czas i na Będkowice, choć w parę lat później. Zaczęło się jednocześnie z ogólnym „kryzysem" Polski. Rozdrabniane średnie gospodarstwa wypychały coraz to więcej zbędnej ludności do dworu po prace, której już zaczęło brakować. A jeśli ktoś otrzymał robotę, to kosztem wydalenia jeszcze biedniejszego lub słabszego. Poszukiwano pracy dalej w miastach, ale już bezskutecznie. Biedacy przerażali się, dla średniaków było to ostrzeżenie dla lepszego „umiłowania ziemi". Dzieci swe żenili i wydawali tylko „na ziemię". Bezrobotna biedota też szukała „zachylisk". I znów: „zyniłbym się z kozą, zeby morgi miała". Wżeniali się do kiszeczek pól, wyporządzali chlewiki na mieszkania, lub klecili poza wsią lepianki.

Wiadomo, że z tej biedoty gospodarze mieli korzyść i na niej właśnie w czasie pracy „odbijali se" straty, będące wynikiem kryzysu gospodarczego. Poprzednie wynagrodzenie za dzienną pracę spadło z 2 zł 50 gr do 1 zł i niżej.

W takiej sytuacji zaczęło się przeklinanie życia i zazdrość z jednej strony, a pogarda z drugiej. Wzajemna nienawiść potęgowała się z dnia na dzień. Na takim dopiero gruncie słowa paru owych lewicowych biedaków znajdywały posłuch u biedoty, której mocno przeciwstawiała się klika bogaczy i klerykałów.

III

NA DROGACH I MANOWCACH

Jak widać na przykładzie Będkowic, fali nowych prądów społecznych nie uda się niczym powstrzymać, najwyżej można ją opóźnić. Ujarzmiona przez dwory wieś doszła wreszcie do zrozumienia swej sytuacji.

W tym miejscu niejeden z czytelników chciałby zapytać: „Co to za wieś?... Skąd takie w niej zapóźnienie polityczne?... Przecież już od przeszło trzydziestu lat rozwijał się w Polsce ruch ludowy... byli przecież uświadomieni przywódcy ludu... Czy żaden z nich nie dotarł do tej okolicy?..."

Ale takie pytanie świadczyłoby tylko o braku znajomości stosunków wiejskich. Wiadomo, że trafiali się po wsiach uświadomieni politycy, że głosy ich docierały nawet do najbardziej odciętych od świata wsi. Tylko co to byli za politycy? jaka była ich działalność? i wreszcie jaki odnosiła skutek? Bo gdzieś do roku 1930 w zasięgu dwu gmin (Sułoszowa i Cianowice, wsi 32) nie było uświadomionego naprawdę i lewicowego polityka. Owszem, był w Ojcowie Stanisław Grzybowski, a do Jerzmanowic przyjeżdżali często członkowie KPP, bracia Stanisław i Benedykt Chocholy, którzy z Jerzmanowic pochodzili, a w Zagłębiu pracowali. Ale ich działalność rozpoczęła się dopiero po roku 1930, a więc wtedy, gdy już grunt pod pracę rewolucyjną był nieco przygotowany. Przedtem, a także i potem zaglądali do różnych wsi inni politycy. Np. poseł z „ósemki", a późniejszy wiceminister Józef Ostachowski z Sułoszowej. Był on niby chłopem, ale jakim i po której szedł stronie? Jego rodowód: był synem bogacza i wnukiem księdza Jagodzkiego, ongiś proboszcza w Jerzmanowicach.

W sąsiedniej wsi Łazy, bogaty Mirek przeszkolił aż trzech synów na „działaczy społecznych". Jeden był instruktorem Pow. Tow. Kółek Rolniczych w Olkuszu, dwaj — instruktorami Kół Młodzieżowych „Siew". A więc sanacyjne sługusy. Takich polityków czy opiekunów wsi możnaby więcej naliczyć.

Dopiero po roku 1930 zaczęli działać: koło Jerzmanowic — bracia Chocholy, koło Ojcowa — Grzybowski, a wokół Będkowic — Ludwik Strychalski z Kobylan, pow. krakowskiego, też członek KPP. Strychalski i Chocholy siedzieli już przed tym w więzieniu za polityczną działalność. Tacy ludzie mogli dopiero w biedniejsze masy wsi wszczepiać (choć dość ogłednie i skrycie) lewicowe przekonania. Tym bardziej znajdowali posłuch, że uciemiężenie i maltretowanie biedniejszych mas dochodziło do szczytu. Świadomość życia i jego celów najdobitniej dociera przez doświadczenie, czyli zdobywa się je przez tzw. „próbę ognia". A przez tę „próbę" po r 1930 każdy biedniejszy chłop przeszedł. Tą „próbą" były rządowe upomnienia za podatki, oddzielnie za każdy rodzaj. Kosztowały po 1 zł 50 gr. I gdy np. ktoś miał trzy morgi w trzech kawałkach, otrzymywał dziewięć upomnień na sumę 13 zł 50 gr. Po upomnieniach przychodził sekwestrator i doliczał znów drugie 13 zł 50 gr., a ogłoszenie licytacji też tyle kosztowało. Bywały częste wypadki, że koszty egzekucyjne przekraczały dziesięciokrotnie sumę podatku! A upomnienia sypały się jak „z rogu obfitości", biedniejsi bowiem, a często nawet i średniacy, nie mając zarobku, ledwie „pyski obżywili" i na konną robotę w polu u bogaczy zapracowali. Dla takich zagadnienie kupienia na zimę lichych buciąt było naprawdę nie do rozwiązania. Nie płacili więc, pocieszając się, że im „sekwestrator dzieci tymczasem nie zabierze, a później wybuchnie wojna czy rewolucja, bo przecież tak dalej być nie może". Mylili się nieszczęśni, bo sekwestratorzy dawali sobie radę: zabierali zboże, ostatnią krowę, kozę, poduszkę, sieczkarnię i inne przedmioty.

Ściąganie podatków przy pomocy pałki i bagnetu — to dopiero jeden z wielu przykładów ucisku biedaków! Gdybym sobie zadał trud wyliczenia ich na podstawie własnych obserwacji i doznań, sam bym się dziś tym zatrwożył.

W takiej sytuacji życiowej rewolucyjna propaganda znajdowała posłuch i budziła bunt przeciwko panującemu porządkowi — przeciwko rządowi, magnatom, fabrykantom, miejskiej burżuazji, klerowi, i wiejskim bogaczom. Ci oczywiście nie pozostawali dłużni. Rząd wymyślał i stosował wszelkie środki unicestwienia lewicowych prądów, księża zabawiali się w „tajnych detektywów" i grzmieli z ambon, a bogacze i klerykały chętnie szli na usługi rządu i księży.

Zainteresowanie sprawami społeczno-politycznymi i antagonizm między bogaczami a biedakami siłą rzeczy wpływały znacznie na czytelnictwo gazet. Czytelnicy „Małego Dziennika" i „Rycerza Niepokalanej" sięgali coraz częściej po endeckie pismo „Wielkopolanin"; czytelnicy „Naprzodu" i „Robotnika" po „Chłopską Prawdę", „Złoty Wiek", nawet „Wolnomyśliciela".

Bogacze wiejscy i ich klienci to środowisko, w którym głosowały wpływy endecji i kleru. Biedota wiejska, poddana w dużej mierze wpływom lewicowego podziemia, zrozumiała oblicze sanacyjnego reżimu i jedyne swe zbawienie upatrywała w przewrocie społecznym.

Jedni ufali lewicowej prasie, ostrzegającej przed niebezpieczeństwem hitleryzmu i faszyzmu, inni tumanili się niebezpieczeństwem ze strony Rosji. To zaślepienie nie ominęło bodajże żadnego ozonowca. Bo już w roku 1939 „bohater" pokonywania biedoty przy ściąganiu podatków, komendant policji z Ojcowa, Kwiecień, krzyczał głośno na zebraniu Rady Gromadzkiej w Będkowicach, że „skupiony naród polski w OZN musi przy pomocy innych jeszcze sił pokonać najstraszniejszego wroga ludzkości — komunistyczną Rosję". Również takie kazania wygłaszał ów piewca „najdroższych zagonów" Stanisław Odrobina w Jerzmanowicach. A 10-go kwietnia 1939 r. na zebraniu Gminnego Komitetu (czy Zarządu) LOPP — po staroście Stamirowskim, przemawiał na temat przyszłej wojny.. (oczywiście z Rosją), rdzenny Niemiec, Błażej Himmel z Ojcowa, prezes Gminnego Zarządu LOPP. Później w czasie okupacji niemieckiej okazał się jawny mi prawdziwym hitlerowcem i współpracownikiem żandarmerii i Gestapo. Wtedy dopiero jego przyjaciele OZN-owcy dostrzegli w nim wroga polskości.

Jak widzimy na przykładzie dwu tylko wsi — okres dwudziestolecia międzywojennego był dla narodu polskiego wielką LEKCJĄ HISTORII. Lekcją nauki na przyszłość.

Józef Pogan

MELPO AXIOTI

tłumaczył ROMAN KOŁONIECKI

APEL

Zamieszczamy fragment najnowszej powieści współczesnej pisarki greckiej, Melpo Axioti, pt. „Dwudziesty wiek", która ukaże się niebawem nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego.

Axioti jest nie tylko pisarką; należy do Komunistycznej Partii Grecji i prowadzi na emigracji — głównie we Francji — ożywioną działalność na rzecz Czerwonej Grecji. Ostatnio brała czynny udział w paryskim Kongresie Pokoju.

„Dwudziesty wiek" — to powieść oparta na podłożu autobiograficznym; główną bohaterką jest kobieta imieniem Poliksena, rozstrzelana przez „Germano-Greków" w obozie koncentracyjnym. Ale powieść ta jest również historią greckiej partii komunistycznej poprzez wojnę i okupację, aż do epoki interwencji anglosaskiej czyli do dnia dzisiejszego (akcja powieści kończy się 1-go grudnia 1946 r.).

Rozdział ostatni książki — pt. „Apel" (tytuł pochodzi od tłumacza), to fragment dnia powszedniego grupy komunistów greckich, zamkniętych w więzieniu przez reakcyjny rząd. Przedstawiciele wszystkich warstw społecznych — od pastucha z Epiru do wybitnego pianisty, ojca Polikseny — walczą z bronią w ręku po górach, w podziemiach stolicy, za kratami więzień. Fragmenty pamiętnika gen. Makriannisa są żywym programem działania, nie tracącym aktualności w obecnej chwili dziejowej.

rk

Niechże kto opowie coś jeszcze przed wieczornym apelem.

No to ja chłopcy, idę na pierwszy ogień. Opowiem wam coś takiego, że po prostu boki zrywać! — zawołała młoda jasnowłosa dziewczyna.

Uciszyło się zwolna; wszyscy znów się porozsiadali.

— Było to po zakończeniu walk grudniowych, w moim pierwszym więzieniu. Byliśmy obstawieni tuzinem żandarmów. „A oczy, oczy... — zwracali się do mnie z pytaniem. — Ilu ludziom wyłupiłaś oczy?" — „Nie! ja nikomu oczu nie wyłupywałam, ja byłam od sprzątania klozetów... Byłam pielęgniarką okręgu Thymarakia. Cała moja robota, to były właśnie — klozety". Czy wypada mi tak mówić? — a! mniejsza o to!... W każdym razie — do samego wieczora dali mi święty spokój; podziałało to na nich tak, że się od razu uspokoili — niczym kokoszka, wrzucona do wody. Potem przyszli, powiedzieli: „No, idźże sobie do diabła!" — i zwolnili mnie.

— Brawo, Klio! Udało ci się mnie rozśmieszyć...

leli od śmierci w krematoriach; tłumów ludności, uciekającej — dla odmiany — właśnie z północy na południe; mężczyzn, powypłaszanych z domów i wyprawionych na wyspy; dzieci, powyciąganych z łóżeczek i wysyłanych na plac kaźni...

— Kto z kolei obejmuje teraz wartę? — spytał Thanassis. — Pora na zmianę.

Dwóch spośród obecnych mężczyzn wstało i podeszło do drzwi, żeby zastąpić tych, którzy pełnili wachtę do tej chwili. Więźniowie narzucili sobie ten obowiązek sami: żeby zapobiec wszelkim niespodziankom.

Nagle rozległ się głos: „Chodź-no tu co prędzej, Thanassis! Chodźcie tu wszyscy! Michał pluje krwią!"

Wszyscy rzucili się w stronę, skąd głos dobiegał. Chwiejnym krokiem poszedł tam za innymi ojciec. Gdy chory ujrzał go, pochylonego nad sobą, rzekł:

— Przysuń się bliżej! Jaka ona była do ciebie podobna! Po prostu ta sama twarz... Poznałem twoją córkę, towarzyszu, osiem lat temu; przyszła do mnie, przynosząc mi paczkę...

— Przestań Michał, tobie nie wolno nic mówić; bądź cicho!

— Dlaczego nie wolno? Od dwudziestu już lat ciągnie się to moje choróbsko! Dziś bynajmniej nie mam jeszcze zamiaru umierać!

To mówiąc potoczył w koło oczami po twarzach wszystkich, którzy nad nim stali.

— ...a potem, przed samym odejściem, Poliksena zapytała mnie: „Towarzyszu, czy mogę was ucałować?" — Owszem — odpowiedziałem — jeśli się tylko nie boisz..." Więc schyliła się i pocałowała mnie w policzek. „Popatrz, popatrz! — myślałem sobie. — Oto młoda dziewczyna, taka świeża i piękna, przychodzi do ciebie i mówi ci: „towarzyszu!" I pomyśleć, że kiedyś było nas zaledwie mała garstka!... A teraz — już ci ją zamordowali!...

Krew zaczęła mu kapać z nosa kropla po kropli.

— Jakiś ty nieposłuszny, Michał! Bądź-że cicho... — rzekł Thanassis.

— A właśnie że nie będę posłuszny! — krzyknął Michał i zerwawszy się z podłogi, stanął wyprostowany. — I w sanatorium w Sotirii też nie byłem posłuszny! „Nie wychodź, nie wychodź! — krzyczeli moi kumple. — Bo dostaniesz kulkę w łepetynę!" Ale ją ich nie usłuchałem i wyszedłem. Anglikom nie udało się zająć budynku. My wciąż jeszcze broniliśmy się. Przysłali więc delegację z wezwaniem, żebyśmy się poddali. Moi kumple powtarzali: „Nie wychodź, bo położą cię trupem!" A ja wyszedłem, wgramoliłem się na taras i wrzasnąłem w tubę: „Są tu wewnątrz ludzie spod znaku Andarte i są także suchotnicy! Nie poddamy się! Możecie ile tylko wlezie kropić sobie do nas z tej waszej przeklętej armaty, bando świńtuchów! A my wolimy raczej zginąć pod gruzami!"

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do wnętrza celi wtargnęło trzech mężczyzn. Jeden z nich uzbrojony był w pałkę. Podeszli do nich towarzysze, którzy trzymali straż przy drzwiach a wraz z nimi podszedł Thanassis: „Nic takiego — powiedział — tyle tylko, że Michał pluje krwią".

Michał dalej stał nieruchomy, sztywno wyprostowany. Wyglądało, jakby mu na piersi zwisał wąski czerwony śliniaczek. Dyszał ciężko i z trudem usiłował zaczerpnąć powietrza. Krople krwi spadały mu pod nogi, jak krople deszczu z mokrego parasola.

Wtedy Thanassis dał znak i wszyscy obecni obstąpili go kołem. Patrzył wszystkim uporczywie w oczy — jak marynarze badający widnokrąg.

— Strażnicy przyszli tu z pałkami, boście za bardzo hałasowali — powiedział cicho. — Dałem im słowo, że to się więcej nie powtórzy; poręczyłem za was własnym życiem.

— Własnym życiem? — powtórzył któryś z więźniów

Partyzanci greccy przed rozstrzelaniem.

— Patrzcie go: więc wróciłeś, mój stary Zachariaszu! — krzyknął nagle szewczyk. — To właśnie do mnie, do Simosa przychodzisz w odwiedziny, co? Chodź-no tu, dam ci trochę okruszyn.

— Powiedz nam, szewczyno, czy to twój syn, ten Zachariasz?

Olbrzymi bury szczur z czerwonymi ślepiami i długim, wlokącym się za nim ogonem sunął na przełaj po podłodze, ocierając się o ciała leżących więźniów.

— Chyba to już głęboka noc, kamraty! Szczur Simosa już jest, to i wszystkie inne powychodzą z nor — tylko patrzeć! Przypomina mi to szczury, gnieżdżące się w kostnicy: co noc zdobywały ją szturmem. Trzeba było trzymać straż, gdyż baliśmy się, że zaczną pożerać trupy. To też ja osobiście wszystkie leżące tam trupy liczyłem, żeby je wciągnąć do spisu: ofiary głodu, ofiary Oporu, ofiary Grudnia, no i ci teraz!

W tej chwili ojciec, leżący dotychczas nieruchomo, odwrócił się do Emila, który siedział obok niego: „Nie zdążyła nawet zobaczyć na własne oczy ostatnich wydarzeń: walk grudniowych... i tych najświeższych... Może i lepiej, że się tak stało. Jakby sobie wybrała moment najstosowniejszy..."

— Tak: są rzeczy, których nie zdążyła zobaczyć, ojcze... Zesłanych do Afryki, którzy cudem ocaWnet wszyscy poukładali się czym prędzej na ziemi i zastygli w bezruchu — zupełnie jak na jakimś przedstawieniu. Ale tak jak po burzy morskiej, gdy znów zwolna ustala się cisza i tylko jeszcze woda wciąż drży na głębinach — w sercach więźniów wszystko jeszcze wrzało.

Każdy z osobna, spokojnie i w milczeniu wyruszył teraz w pogoń za swoim marzeniem.

Pierwszy więzień myślał sobie: „Próbują chwycić nas w łapy; szukają tylko sposobności, żeby nas wysłać gdzieś do obozu.

„Ilu więźniów utłuką? Wszystkich? — rozmyślał garbus. — I co potem? Przelana krew zawsze woła o pomstę! Niech ta krew spadnie na ich głowy!" Zaczął gmerać po kieszeniach, szukając papierosa. Ale nie znalazł.

„Gdyby żyli moi trzej synowie, których mi Włoszyska pomordowali, zaraz by się okazało, czy by nie wyciągnęli mnie stąd — i to migiem! Zwłaszcza gdyby przy życiu był Dyzio... Utraciłem wszystko — nawet laskę! I co dzieje się z moim stadem? Kto go strzeże dziś na pastwisku? A może się rozbiegło?"

Tuż obok jakaś kobieta przebierała odruchowo palcami: „Co to takiego było, o czym pisała mi córka w swoim liście? Aha! przypomniało mi się: „Tu, na tych wyspach, gdzie słońce przepaliło ziemię na wskroś, dzieci umierają na łonach matek. Jest tu takie jedno, które ma dwa latka i czym tu je żywić? gdzie je do snu ułożyć?..." I pomyśleć tylko, że ona nie ma tam ze sobą choćby jakiej spódniczki!"

Ostatnim, który leżał w tym rzędzie, był więzień, chodzący stale w berecie. W tej chwili zdjął go właśnie z głowy i począł obracać w palcach szepcąc: „Czy aby przypadkiem nie zapomniałem tu w więzieniu o Maro? Nie, nie zapomniałem jej! Tylko, że obecnie co innego leży mi na sercu... Moja matka miała stopień kapitana i teraz ja — jej syn — noszę po niej ten beret". Natychmiast włożył go z powrotem na głowę, ściągając trochę na lewe ucho.

Spod przeciwległej ściany Thanassis posępnym spojrzeniem wodził po całej celi: „Trzeba roztoczyć opiekę przede wszystkim nad tymi, którzy się mazgają — myślał. — Brak im doświadczenia — są przecież wśród nich tacy, którzy dostali się za kraty po raz pierwszy. Nas jest teraz tak wielu! a była nas — jak to słusznie zauważył Michał — ledwie mała garstka! Ja osobiście zaczynam się już przyzwyczajać do pobytu w więzieniu — od dwudziestu kilku lat wciąż jestem w ogniu walki. Byliśmy wszędzie, gdzie tylko toczył się bój. Jedni walczyli w Rosji, inni — w Hiszpanii, wszędzie — aż po Indie, bośmy się na jednym z zebrań zobowiązali, że staniemy tam do walki. I wszędzie wyciągały się do nas ludzkie dłonie, żeby złączyć się w uścisku z naszymi. I ci, co potonęli w czasie przeprawy przez Atlantyk i ci, co padli na ulicznych brukach i inni, co — jak orły — mają siedliska na wierzchołkach gór... I wreszcie my sami — tu w kraju, który jest dla nas więzieniem. Zaczęliśmy tę swoją walkę dwadzieścia pięć lat temu, u boku starszych towarzyszy, a dziś kończymy ją, mając u boku innych".

Jakiś dzieciak z najciemniejszego kąta celi przypełzł do kobiety, która tego dopiero dnia tu się znalazła. Zasłaniając sobie ręką usta, zapytał ją po cichutku:

— Jak się nazywasz?

— Biatrizo — odpowiedziała.

— Chodziłaś do szkoły?

Kobieta potrząsnęła głową — na znak, że nie chodziła.

— Ja — ciągnął dzieciak — najpierw korzystałem z wózka do zabawy. Kładłem do wózka amunicję i rozwoziłem ją walczącym. Miałem wtedy dziewięć lat. Teraz mam piętnaście... Później otrzymałem awans i moim zadaniem — w okresie walki — było pilnować kapitana Mourat, żeby przypadkiem ktoś na niego znienacka nie napadł; pokrzepiałem go także na duchu. W grudniu miałem już strzelbę! Dostałem ją na własność! Pewnej nocy strasznie rozgrzała się od strzelania a nie było wody — więc nasiusiałem na nią, żeby lufa ochłodziła się trochę. Potem — kiedy oni zawarli ugodę — byłem zmuszony strzelbę oddać. Ale nabojów, to nie oddałem wrogowi ani jednego: zużyłem je wszystkie, strzelając po prostu w powietrze! Dostali samą strzelbę — i basta!

— Zgubiłeś swoich rodziców, przestałeś chodzić do szkoły... — szeptała kobieta. — I byłeś na wojnie... ty, biedny dzieciaku! — Węzeł chustki, którą miała przewiązane oko, podrygiwał jej z tyłu na głowie.

Przez małe okienko w ścianie ktoś coś wrzucił do wnętrza celi. Nikt nie wiedział, kto to uczynił. Dzieciak rzucił się naprzód: „Towarzyszu Thanassis, gazeta!"

Thanassis spojrzał przelotnie na pierwszą stronicę złożonej w czworo gazety i schował ją do kieszeni. Pochylił się do ucha sąsiada:

— Został o świcie rozstrzelany.

— Kto?

— Syn starej Roido.

Sąsiad Thanassisa przekazał na ucho wiadomość następnemu więźniowi:

— Został o świcie rozstrzelany.

— Kto?

— Syn starej Roido.

— Rozstrzelany? o świcie?

— Kto?

— Jej syn?

— Syn starej Roido?

Roido rozpościerała na ziemi swój worek. Szykowała się do spania. Dzień już się skończył. Tego wieczora nie dowie się o niczym. Powiedzą jej dopiero jutro.

— Emil! — powiedział Thanassis. Zwołuj apel: już czas. Dzisiejszego wieczora przeczytamy tylko osiem stron. A uważaj, nie podnoś zanadto głosu.

Wszyscy mieszkańcy celi szykowali się do snu. Emil wstał — ten sam Emil, który przybył ongiś z Katalonii wraz ze starą Salome i z początku zajmował się roznoszeniem koronek na sprzedaż... Podszedł do skrzynki, znajdującej się w rogu celi i wstąpiwszy na nią z kartką w ręku, rozpoczął apel. Głos jego obijał się o więzienne mury:

„Nurkowie i marynarze!

„Murarze i kanonierzy!

„Pisarze i żołnierze!

„Żony i bojowniczki!

„Pasterze i grajkowie!

Wszyscy odpowiadali:

„Obecni!"

Na zakończenie szepnął — już tylko dla samego siebie: „Poliksено, ukochana moja! ty także tu jesteś w tej chwili..." Potem otworzył jakąś książkę: były to „Pamiętniki generała Makriannisa, ciąg dalszy" *).

Słowa obijały się o więzienne mury.

Wszyscy więźniowie, siedząc na ziemi, słuchali.

Emil zaczął:

„Ci, w których rękach spoczywają dziś nasze losy, wszyscy nasi kierownicy — od najniższego do najwyższego, ministrowie i deputowani — poczytują sobie za chwałę, za zaszczyt, nawet za obowiązek okradanie i zdradzanie ojczyzny, wyrządzając jej ciężką krzywdę. Uchodzą oni za najgodniejszych obywateli państwa — natomiast ludzi uczciwych prześladuje się i oddaje pod sąd niegodziwców".

Odwrócił kartkę i czytał dalej:

„Jakkolwiek — w porównaniu z hordami Ibrahima — jesteśmy liczebnie słabsi, pocieszamy się tym stwierdzeniem, że przeznaczenie stale, nas — naród grecki, utrzymuje przy życiu — mimo małej liczebności. I choć od początku do samego końca, od starożytności po czasy dzisiejsze wszystkie dzikie ludy toczą z nami wojny, żeby nas pochłonąć — jakoś im się to nie udaje. Zadają nam razy straszliwe, ale zostaje w nas zawsze zaczyn odrodzenia: ta garstka ludzi, zdecydowanych na śmierć.

Stał wyprostowany jak świeca i odwracał kartkę po kartce. Pozostali więźniowie, siedząc na ziemi, słuchali.

„Ojczyzno, wszyscy Grecy jak jeden mąż złożyli ci siebie w ofierze. Powinnaś ich uczcić! Złożyli siebie w ofierze, żeby cię wskrzesić, żeby raz jeszcze można cię było nazwać „Wolną", choć już sądzono, że wykreślona jesteś z mapy świata. Powinnaś uczcić wszystkich tych obywateli; ale zapamiętaj przede wszystkim i wysławiaj czyny tych, którzy pierwsi polegli nad Alamaną w zmaganiach z nawałą turecką, liczebnie o wiele ich przewyższającą; pamiętaj o tych bohaterach, którzy postanowili się zamknąć jak w twierdzy w karczmie w Gravii — w kruchej ceglanej budowli... Oni to bowiem powstrzymali wroga w pochodzie... A teraz, ojczyzno, cierpią oni prześladowania od rozmaitych „Ekscelencji" — od Twego rządcy i jego braci, Augustynów i Viarosów, którzy nie zostawiają w spokoju nawet ich żon i córek, którzy ośmielają się namawiać tych sławnych bojowników, żeby zyli z żebractwa. „Po co braliście oręż do ręki? — mówią im na dobitkę. — Czy wy nie rozumienie, że sami sobie wyrządziliście krzywdę!"

— Ojczyzno, powinnaś także uczcić nas, swoich dzisiejszych obrońców!

Wszyscy obrócili się ku temu, kto ów okrzyk wydał: ku ojcu.

* * *

Na półkuli północnej, w kraju, który nazywa się Grecja, tej samej nocy Akropol znowu sięgnął do kronik, zapisanych na jego płytach:

„Dnia 1-go grudnia, w 1946 lat po Chrystusie, u podnóża moich marmurowych schodów..."

I coś jeszcze po tych słowach dodał. Nikt nigdy się nie dowiedział, o czym to była mowa.

Jeszcze jeden dzień minął, podobny do wszystkich innych. Żadne zmiany nie zaszły. W oddali, w mroku, jarzyły się jeszcze ogniska — jak szeroko otwarte oczy — życie toczyło się dalej. Albowiem można pognębić człowieka, ale nie życie.

Do widzenia.

Melpo Axioti

*) Makriannis — bohater ludowy, jeden z najsławniejszych generałów w wojnie o niezależność narodową Grecji w r. 1821

BAZYLI ROTAS

GŁOWA TOWARZYSZA)*

Orzeł w szponach trzyma
uciętą głowę bohatera

podziwia jej dumę
zazdrości jej męstwa

jak przed bratem, przed druhem
skarży się orzeł i mówi:

Głowo! Królewskim jestem ptakiem
wzbijam się uderzeniem skrzydeł

igram z gromem ja — orzeł
lecący ponad chmurami

— Ptaku! Jestem towarzyszem
towarzyszem kapitanem

nie mając tułowia walczę
nawet bez skrzydeł lecę

męstwo i dumę czerpię
u towarzyszy moich

jest ich jedynie garstka
— nie ptaków i nie zwierząt,

Oni są kwiatem ludzkości
dumą i sławą świata.

tłum. E. Martuszewski

*) Wiersz jednego z czołowych poetów walczącej Grecji, autora hymnu EAM-u.

Z KONGRESU BOJOWNIKÓW O WOLNOŚĆ I DEMOKRACJĘ

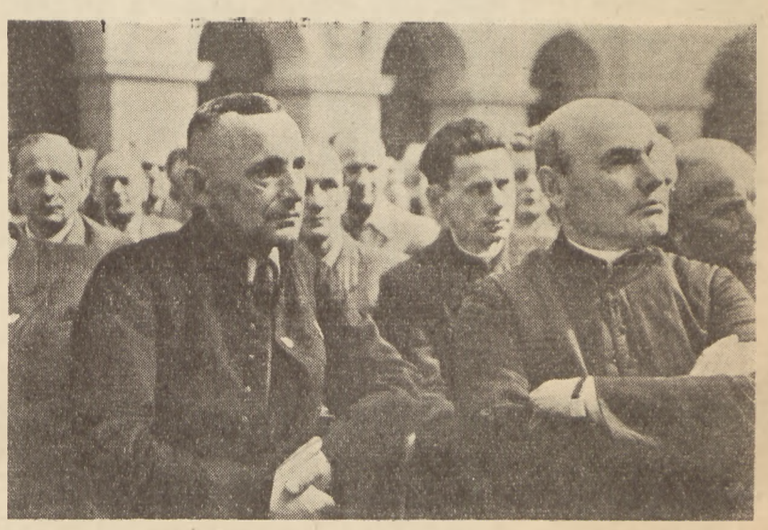

Księża-demokraci, delegaci na Kongres Bojowników o Wolność i Demokrację.

Uważam, że wypowiedzi ludzi walczących o pokój — o sprawiedliwość dziejową, byłyby niepełne, gdyby zabrakło głosu Polaka kapłana.

Każdy z nas Polaków, ma tę świadomość, że zanim stał się katolikiem, to już urodził się jako Polak.

Jestem synem robotnika folwarcznego. Obiecywałem sobie, że gdy zostanę kapłanem to będą opowiadał o krzywdach jakie się działy robotnikom folwarcznym. Patrzyłem na marnotrawstwo i patrzyłem na luksusowe polowania, widziałem, jak kilkumorgowy gospodarz był doszczętnie rujnowany za podatki, a obszarnik zalegał na dziesiątki tysięcy.

Tego wyzysku teraz nie ma.

Teraz stało się zadość sprawiedliwości.

(Z przemówienia księdza Pasternaka)

JERZY LAU

MAPA SERCA

(Fragmenty poematu o gen. Świerczewskim)

Za wolność —
waszą i naszą
zostałeś generałem,
— pieśnią narodów,
— sercem na mapach.
Ludy prostują już
plecy horyzontów,
z rąk do rąk
podają rewolucję
— w obronie pokoju.
Jak zamek karabinu
błyska wrogowi
twe imię:
— Walter!

Drogi towarzyszu,
pachną gałęzie jodły,
a ty liczysz słoje życia,
ciszej, prościej...
A serce tka
czerwony sztandar
na piasku
— rodzinnym,
na ten bój, ostatni
— dla nas.

To grają kaemy,
nie tokarka twoja,
nie drzewko dzieciństwa,
— to wróg gada żelazem,
upowski faszysta,
młyn kręci wrzecionem
w jarze krwawego słońca
— a ty pierwszy raz
kuli się kłaniasz.

Widzisz tokarkę,
klatkę z ptakami
i skrzydła na szybach,
fabrycznej hali,
gdzie krzyczą iskry,
drapieżne ptaki blasku
i mróz ścina błękit żelaza.
— Na fabryce Gerlacha
została tokarka
i sypie śnieg
tamtych opiłków...

Carski czas wtedy
chodził uriadnikiem,
batogiem gnały
carskie ruble.
Czarne płuca
ludzi i maszyn,
czujne ręce
uczyły Marksa.

Lecą kule na wietrze
— nie acetylenowy śnieg,
tokarz jest cietrzewiem,
drgają napięte mięśnie,
biegną chłopcy tyralierą,
lepkie żelazo na mrozie
sople palców są obce,
milczą boleśnie,
chociaż czerwono
kapie żywicą żelaza
i pachnie walką
żołnierzom Ludowej.

Dziś dzieci w szkole
znają mapę twego serca,
że Polski broniłeś w Madrycie
nad Ebro i Terruelem,
jak błysk granatu
nad Wisłę przynosił:
„Arriba parias de la tierra!"

Słońce brązowe,
na drzewach miedziane orzechy
i rzeki błękitne,
rzeki zielone
kroiły jak noże
ziemie hiszpańskie
z kamieni i łez.

„Chcę pić!"
„Ostrożnie generale,
to bandaż, nie sztandar
Czerwonej Hiszpanii".
I pomsty szukają
żołnierze w ataku

Nocą parki londyńskie pełne są bezdomnych.

Policja strzeże porządku.

JERZY FALENCIAK

»DOBRA, STARA ANGLIA«

„Wszystko to działo się pomiędzy godziną szóstą a siódmą wieczorem, dnia dwudziestego sierpnia, roku pańskiego tysiąc dziewięćset drugiego w sercu największego, najbogatszego i najpotężniejszego imperium świata".

Gdy Jack London, energiczny i wszędobylski pisarz amerykański, postanowił zwiedzić East End — osławioną dzielnicę nędzy londyńskiej — spotkał się z pełną niesmaku dezaprobatą. „To niemożliwe", mówili przyjaciele londyńscy. „To rzecz bez precedensu", oświadczył zaszokowany urzędnik biura podróży Cooka, gdy ekscentryczny turysta zwrócił się do niego po bliższe informacje o celu paruminutowej wycieczki. Nawet dorożkarz zdumiał się, gdy osobliwy gentleman kazał się obwozić po ulicach East End'u.

East End, to sprawa, o której się w stolicy imperium nie mówi; odległy jest o pięć minut drogi od dzielnic eleganckiego Londynu, ale świat głodu i bezdomności, ponury kraj „ludzi otchłani" oddziela od świata sytych i możnych najpotężniejsza bariera — klasowego wyzysku i klasowej obłudy.

Jack London zajrzał za kulisy imperium, odsłonił podszewkę kapitalistycznej „prosperity" nietaktownie, wbrew wszelkim zasadom angielskiej przyzwoitości, ukazał dzieje wydziedziczonych potomków „królów morza".

Warto przypomnieć dziś doświadczenia opatrzone datą 1902 r. Sytuacja londyńskich „slumsów", zaułków skrajnej nędzy spychanego na dno „otchłani" proletariatu, nie uległa zmianie na przestrzeni dziejów imperializmu — od wczesnej fazy jego triumfu do czasów, w których znalazł się w obliczu końca; przeciwnie — zaostrzyła się.

I dziś patrzy z jeszcze większym lękiem w przyszłość angielski świat pracy. Nadchodzący kryzys powiększy armię bezrobocia, nędzy, bezdomności.

Żato 1902 — okres odkrywczych wypraw Londona na dno „otchłani" — to okres pomyślnej koniunktury gospodarczej imperium. A jednak London pisał o swych obserwacjach z East Endu: „Tego, co ujrzałem, nie chciałbym oglądać raz jeszcze".

Po letnich miesiącach ekonomicznej „prosperity" nastąpił kryzys. Zima 1902—1903 wzmogła bezrobocie i nędzę do rozmiarów, które wstrząsnęły nawet opancerzonymi przeciw „niestosownym" widokom „przyzwoitymi" Brytyjczykami.

„Rzesze bezrobotnych tworzyły po prostu procesje i wlokąc się ulicami Londynu domagały się krzykiem chleba. Mr. Justin Mc Carthy — cytuje London w przedmowie do swej książki — pisząc w styczniu 1903 r. do nowojorskiego „Independenta", tak po krótce ujmuje sytuację: — W przytułkach zabrakło miejsca, aby pomieścić głodne tłumy, błagające dniem i nocą u bram o pożywienie i schronienie".

Fakty te nie są nam obce. Miały miejsce w „dobrej starej Anglii" i za naszej pamięci: nie inaczej przedstawiała się sytuacja proletariatu w latach wielkiego kryzysu lat trzydziestych. I nie inaczej ukształtuje się ona w humanitarnym raju kapitalistycznym w ciągu najbliższych miesięcy.

Nie trzeba jednak sięgać po dokumenty lat klęski kapitalizmu. Wystarczy ukazać, jak żyje jego ponury cień — londyński East End w miesiącach „dobrych". Już wtedy Londyn roił się od bezrobotnych. Zjawisko typowe dla stosunków jeszcze nawet liberalistycznego kapitalizmu; produkcja przemysłu angielskiego, nastawiona na potrzeby własne i także eksportowe, nie wychodziła mimo to w większości gałęzi poza działalność sezonową. Każdy więc robotnik, także londyński, musiał normalnie przetrwać coroczny staż bezrobocia w ilości od trzech do ośmiu miesięcy, nie licząc bezrobocia w wypadku krytycznych załamań koniunkturalnych w przemyśle i handlu. Charakterystyczna okresowość zatrudnienia powoduje z kolei ciągłą troskę o zabezpieczenie siebie i rodziny przed głodem i bezdomnością. Ponieważ walka o ubezpieczenia społeczne znajdowała się wtedy w stadium początkowym, i w Anglii i na kontynencie, powstawała więc konieczność, aby w chwilach popytu na ręce robocze pracowały całe rodziny, kobiety i nieletnie dzieci. W skutkach praktycznych nie przyniosło to bynajmniej zabezpieczenia rodzinie robotniczej. Co więcej, dezorganizowało ją do szczętu, poddając pod zupełną kontrolę i penetrację aparatu przemysłowego, posługującego się doskonałymi metodami oddziaływania i przeciwdziałania wobec wszelkich odruchów klasowych „mieszkańców otchłani".

Prócz ofiar okresowego bezrobocia stałymi kandydatami na „ludzi otchłani" byli członkowie grupy „sytych" mieszkańców East Endu. Drobni kupcy i rzemieślnicy, nieuchronnie proleteryzowani konkurencją wielkiego kapitału z trudem utrzymywali równowagę na krawędzi nędzy. Bez szans wydobycia się z dna wegetują w East End'zie ogromne rzesze lumpenproletariatu; zżarte głodem, brudem, chorobami, pijaństwem wyrzutki „Brytyjskiej Wspólnoty".

Sytuację tych ludzi badał Jack London, który przebrany za nędzarza i upodobniony zewnętrznie do wynędzniałych i obdartych mieszkańców East Endu, „zstąpił do piekieł" w lecie 1902 roku.

JERZY FALENCIAK

JACK LONDON

LUDZIE OTCHŁANI*)

Przebrałem się w kupione łachy i wyszedłem na ulicę. Celem moim miało być znalezienie mieszkania; przy czym starałem się przedstawić jako biedny młody człowiek z żoną i licznymi dziećmi.

Pierwsze odkrycie stwierdzało, że mieszkań do wynajęcia jest bardzo niewiele. Wędrowałem całymi kilometrami i nie mogłem znaleźć ani jednego wolnego mieszkania. Byłby to dowód, że dzielnica jest „nasycona".

Było jasne, że jako młody człowiek z rodziną nie mogę znaleźć mieszkania w tej najmniej pożądanej dzielnicy. Zacząłem więc szukać pokoi nieumeblowanych, gdzie mógłbym przenieść żonę, dzieci i ruchomości. I pokoi nie było wiele, ale znalazłem jednak, co prawda pojedyńcze, bo zdaje się, że jeden pokój uznawany jest tutaj za wystarczające locum dla rodziny. W jednym pokoju można tu gotować, jeść i spać. Patrzono na mnie ze zdumieniem, gdy pytałem o dwa pokoje.

Nie tylko pokój wydawał się im wystarczający dla licznej rodziny, ale i lokatorzy zajmujący pojedyńcze pokoje byli jeszcze gotowi odstąpić kąt jednemu lub dwu sublokatorom. Pokój kosztował od piętnastu do trzydziestu pensów tygodniowo, a kąt w takim pokoju można było dostać za trzy do pięciu pensów na tydzień. Sublokator mógł nawet stołować się u swych gospodarzy za parę szylingów.

Nie tylko domy, które odwiedziłem nie miały łazienek, nie było ich w tysiącach domów całej dzielnicy. W tych warunkach mycie się całą rodziną w zatłoczonym pokoju, w miednicy, staje się przedsięwzięciem niewykonalnym. Ale Bóg jest sprawiedliwy: we wschodnim Londynie deszcz pada prawie co dzień, tak że — chcąc nie chcąc — mieszkańcy kąpią się na ulicy w strumieniach ulewy.

Stan sanitarny domów, które oglądałem, był rzeczywiście straszny. Mam wrażenie, że zła kanalizacja, rynsztoki, brak wentylacji, wilgoć i tym podobne braki spowodowałyby w krótkim czasie u mojej żony i dzieci: dyfteryt, tyfus, różę, zakażenie krwi, bronchit, zapalenie płuc, gruźlicę i różne drobniejsze choroby. Niewątpliwie procent śmiertelności musi być bardzo wysoki. Ale oto znów zadziwiająca sprawiedliwość: najlepsze, co może spotkać mieszkańca East Endu, to pozbycie się rodziny. Rodzina jest ciężarem, warunki zmuszają człowieka do tego, by chciał się pozbyć rodziny. Jeśli miałoby być inaczej, to coś tu nie jest w porządku, gdzieś tkwi błąd!

*

Frying-pan Alley. Gromady dzieci bawiących się na oślizgłych chodnikach. W drzwiach tak wąskich, że przejść można tylko bokiem, siedzi kobieta z obnażoną piersią, karmi dziecko. Idziemy ciemnym, wąskim korytarzem. Oto schody, jeszcze węższe i jeszcze brudniejsze. Dwa piętra, każda platforma o powierzchni dwie stopy na trzy, zarzucona śmieciem i odpadkami.

Siedem pokoi jest w tej norze zwanej domem. W sześciu pokojach gotuje, je, śpi i pracuje dwadzieścia jeden osób obojga płci w różnym wieku. Wszystkie pokoje o powierzchni mniej więcej osiem na osiem do dziewięciu stóp. Wchodzimy do siódmego pokoju. Nora. Pracuje tu pięciu ludzi. Pokój ma siedem stóp na osiem, przy czym większą część powierzchni zajmuje stół, przy którym pracują mieszkańcy. Na stole — pięć kopyt szewskich i poza tym tyle tylko miejsca, by pięciu mężczyzn mogło jako tako pracować. Cały stół zarzucony tekturą, wiązkami wierzchów, różnymi okrawkami i materiałami.

W sąsiednim pokoju mieszka kobieta z sześciorgiem dzieci. W następnym — wdowa z jedynym, szesnastoletnim synem, umierającym na gruźlicę. Wdowa sprzedaje słodycze na ulicy i nie zawsze zarobi na trzy kwaterki mleka potrzebne dla syna. Mięsa chłopiec nie widzi częściej jak raz na tydzień, a ludziom, którzy tego nie widzieli, trudno sobie wyobrazić gatunek tego mięsa.

Gruźlica i słodycze! Jeszcze jedna groźba dla dzieci slumsów.

Pięciu ludzi ciężko pracuje w tej ciupie, jeśli praca ma być na czas wykonana. W zimie lampa musi się palić niemal cały dzień, a ludzie oddychają kopciem, unoszącym się w gęstym powietrzu. W sezonie, kiedy jest dużo roboty, można zarobić trzydzieści szylingów tygodniowo!

— Ale to tylko lepsi pracownicy tyle zarobią — tłumaczył mi jeden z nich. — Wtedy to pracuje się dwanaście, trzynaście, a nawet czternaście godzin dziennie i to trzeba się śpieszyć. Żeby pan nas wtedy zobaczył. Pot się po prostu z nas leje.

Jasne się dla mnie stało, że owe trzydzieści szylingów jest wielkością bardzo problematyczną, skoro sami robotnicy muszą opłacić czynsz i światło, oraz kupić narzędzia, szydła, gwoździe, szlifierki, tekturę itp.

— Jak długo trwa ten sezon, kiedy to możecie zarobić „aż" trzydzieści szylingów na tydzień? — zapytałem.

— Cztery miesiące — brzmiała odpowiedź. — A przez resztę roku zarabia się od dwóch i pół do pięciu szylingów tygodniowo.

Pół tygodnia już przeszło, a zarobek mego informatora wyniósł cztery szylingi! Na zakończenie miałem się dowiedzieć, że jest to jeden z bardziej opłacających się zawodów.

Spojrzałem na okno wychodzące na podwórka sąsiednich domów. Podwórek jednak nie było, a raczej były, ale zabudowane parterowymi budami i szopami, w których mieszkali ludzie. Dachy pokryte były brudem i odpadkami, nieraz na parę stóp grubości — danina mieszkańców pierwszego i drugiego piętra. Rozróżniałem w tym śmietniku ości rybie i obgryzione gnaty, gałgany, stare podarte buty, potłuczony fajans, garnki itp.

— To już ostatni rok naszej pracy — mówił mi jeden z szewców. — Sprowadzają maszyny, to już dadzą sobie z nami radę.

Wyszliśmy tym samym korytarzem, gdzie u wejścia kobieta karmiła piersią młode, tanie życie.

*

Szedłem przez Mile End Road wraz z moimi nowymi przyjaciółmi: woźnicą i stolarzem.

Woźnica z trudnością dotrzymywał nam kroku (powiedział nam, że jeszcze dziś nic nie jadł), ale stolarz, wychudzony, w brudnym podartym palcie, rozwiewającym się na wietrze, ciągnął szybko naprzód... Obydwaj szli ze wzrokiem wlepionym w ziemię. Idąc rozmawiali, a od czasu do czasu któryś z nich szybko pochylał się i podnosił coś nie zwalniając tempa marszu. Myślałem, że zbierają niedopałki cygar lub papierosów i nie zwracałem na to uwagi. Aż nagle dostrzegłem: z brudnych, zaplutych płyt chodnika podnosili kawałki skórek pomarańczy, jabłek, gałązki od winogron, podnosili i jedli. Trzeszczały w ich zębach pestki renklod, podnoszone z ziemi, łupane dla wydobycia jądra. Moi towarzysze zbierali okruszyny chleba nie większe od ziarna grochu, ogryzki jabłek tak brudne i sczerniałe, że

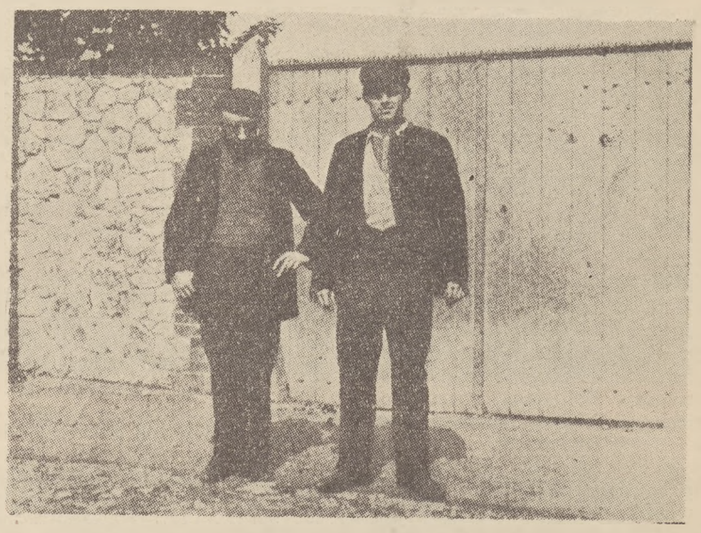

Jack London w rozmowie z „mieszkańcem otchłani".

nikt by w nich nie rozpoznał resztek owocu. Zbierali, kładli do ust, żuli i połykali. Wszystko to działo się pomiędzy godziną szóstą a siódmą wieczorem dnia dwudziestego sierpnia roku pańskiego tysiąc dziewięćset drugiego w sercu największego, najbogatszego i najpotężniejszego imperium świata.

*

Chłopcy tutejsi wyrastają na niedołężnych młodzieńców, pozbawionych żywotności i wytrzymałości. Słabi, nierozwinięci fizycznie przegrywają w walce z elementem napływowym ze wsi. Kolejarze, roznosiciele, kierowcy omnibusów, tragarze, to jest wszyscy ci, których praca wymaga siły i wytrwałości, pochodzą w przeważnej części z prowincji. W policji londyńskiej służy tylko trzy tysiące londyńczyków, a dwanaście tysięcy urodzonych poza Londynem.

Dochodzimy więc do wniosku, że otchłań jest olbrzymią maszyną do zabijania ludzi. I kiedy zdarza mi się przechodzić boczną uliczką, gdzie przed drzwiami swoich zakładów siedzą syci rzemieślnicy, zdaję sobie sprawę, że więcej mam dla nich współczucia, niż dla zgubionych bez nadziei, umierających na dnie otchłani. Tamci umierają, nic ich już więcej nie czeka, ci natomiast będą musieli dopiero przejść przez wszystkie męczarnie i katusze, które, być może, rozciągną się na dwa albo i trzy pokolenia. — Rozmawiałem z kobietą, która właśnie wytrącona ze spokojnego życia na takiej ulicy, zaczęła staczać się na dno. Mąż jej był monterem. Słabym był pracownikiem, skoro nie mógł dostać stałej pracy. Nie miał dość energii i przedsiębiorczości, by zdobyć posadę i utrzymać się na niej.

Małżeństwo to posiadało dwie córki i wszyscy czworo mieszkali w dwóch norach, zwanych przez grzeczność pokojami, za które płacili siedem szylingów tygodniowo. Pieca nie mieli, trzeba było gotować na jednym palenisku gazowym. Jako ubodzy nie mogli otrzymać nieograniczonej dostawy gazu; dla ich wygody zainstalowano automat. Gaz płynął dopiero po wrzuceniu pensa w otwór licznika, ale gdy ilość gazu wartości pensa została zużyta, dopływ zamykał się automatycznie. „Penny pójdzie raz dwa — skarżyła się — a gotowanie jeszcze nie skończone!".

Przed przytułkiem Armii Zbawienia.

Długoletnie niedożywienie dawało o sobie znać przez okrągły miesiąc, od pierwszego do ostatniego dnia, wstawali od stołu głodni. Ludzie staczający się po zboczu na samo dno, wiedzą, że niedożywienie jest największym wrogiem, który wysysa życie i przyśpiesza upadek.

Ciężko pracowała ta kobieta. Od czwartej trzydzieści rano aż do zmierzchu szyła spódnice z falbanami, po siedem szylingów za tuzin. Siedem szylingów za tuzin!

Starsza córka pracowała jako niewykwalifikowana pomocnica u krawcowej za półtora szylinga tygodniowo! Kiedy jednak zaczął się martwy sezon, została zwolniona, chociaż przyjęto ją za tak śmiesznie niską płacę jako uczennicę. Potem znalazła zajęcie na trzy lata w sklepie z rowerami, gdzie otrzymywała pięć szylingów tygodniowo. Cztery kilometry miała do pracy, przy czym właściciel potrącał jej z pensji kary za spóźnienia.

Rodzice stracili grunt pod nogami, nie utrzymali się na powierzchni i teraz staczają się w dół. A córki? Żyją jak zwierzęta, osłabione chronicznym głodowaniem, osłabione umysłowo, moralnie i fizycznie. Czy mają jakąś szansę wydostania się z otchłani, w której się urodziły?

*

O pół do drugiej w nocy deszcz przestał padać, siąpił tylko trochę. Bezdomni opuścili swoje kryjówki i włóczyli się teraz tam i z powrotem, by rozgrzać się. Jakaś kobieta lat pięćdziesiąt do sześćdziesięciu, ruina ludzka, minęła mnie; widziałem ją wczoraj na Piccadilly. Wydawało się, że nie ma sił schować się gdzieś przed deszczem, lub spacerować dla rozgrzewki. Przystanęła. Stała bez ruchu, głupio, rozmyślając zapewne o dawnych lepszych dniach, gdy młodą i gorącą miała krew. Stale przepędzał ją jakiś policjant, ale po kilkunastu krokach znów zatrzymywała się i dopiero następny ruszał ją z miejsca. O trzeciej rano dotarła w ten sposób do St. James Street, a o czwartej widziałem ją chrapiącą głośno pod ogrodzeniem Green Parku. Deszcz znów zaczął padać, to też musiała być przemoczona do suchej nitki.

Wyobraźmy sobie — pomyślałem o pierwszej w nocy — że jestem biednym mieszkańcem Londynu, bez grosza, i że jutro mam szukać pracy. Trzeba przedtem oczywiście przespać się, by nabrać sił potrzebnych do całodziennej włóczęgi.

Usiadłem więc na kamiennych schodkach najbliższego domu. W pięć minut później stał przede mną policjant. Oczy miałem otwarte, policjant więc chrząknął tylko i poszedł dalej. W dziesięć minut później drzemałem z głową opartą na kolanach. Policjant znów stał przede mną: „Hej, ty, nie spać!" Gdy tylko zaczynałem drzemać zjawiał się ten sam policjant. Dałem wreszcie za wygraną i wymaszerowałem wkrótce po ulicach z młodym londyńczykiem. Gdzieś z boku dostrzegłem pasaż pod budynkiem; koniec jego ginął w ciemności, a wejście zamykała żelazna brama.

— Chodźmy tam — powiedziałem. — Przeleziemy przez bramę i wyśpimy się za wszystkie czasy.

— Tam? — odpowiedział mój towarzysz — i posiedzieć trzy miesiące! Beze mnie.

Później przechodziłem przez Hyde Park z czternasto- czy piętnastoletnim chłopcem, najbardziej wyniszczonym i wychudłym sworzeniem, jakie widziałem. Był chory, oczy miał głęboko zapadnięte.

— Chodź, przeleziemy przez płot — namawiałem — zaszyjemy się w krzaki i prześpimy. Gliny nas tam nie znajdą.

— Gliny nie, ale są dozorcy, złapią cię i posiedzisz sześć miesięcy.

Wśród bezdomnych Green Park ma dobrą opinię, jako najwcześniej otwierający swoje bramy, bo już kwadrans po czwartej. Razem z innymi wszedłem do parku. Padał deszcz, ale ludzie zmęczeni nocną wędrówką walili się na ławki i natychmiast usypiali. Wielu wyciągnęło się na mokrej trawie i nie zważając na ulewę, zasypiało snem śmiertelnie zmęczonych.

Tegoż dnia byłem jeszcze raz w Green Parku o pierwszej po południu. Na trawnikach leżały dziesiątki obdartusów. Było niedzielne popołudnie, słońce świeciło zachęcająco i tysiące dobrze ubranych londyńczyków z żonami i dziećmi krążyło po parku.

Tak, mili, zamożni ludzie, gdy odwiedzicie kiedy Londyn i zobaczycie ludzi śpiących na ławkach lub na trawie, nie myślcie, proszę, że są to leniwe nieroby, które wolą spać niż pracować. Wiedzcie, że w nocy spać im nie dają policjanci, a w dzień nie mają się gdzie podziać.

*

Szedłem wieczorem przez Commercial Street, szedłem daleko na południe, aż do doków. Szedłem i śmiałem się z gazet East Endu, które pełne obywatelskiej dumy rozgłaszają chełpliwie, że East End nie jest jeszcze najgorszym miejscem na świecie.

Trudno jest opowiedzieć nawet dziesiątą część tego, co widziałem. Te rzeczy nie dają się po prostu opowiedzieć. Ogólnie mówiąc: widziałem zmorę nocną, brud ożywający na bruku ulicy, plątaninę niewypowiedzianej nędzy — zaćmiewające „okropności" kryminalne Piccadilly i Strandu. Oto zbiorowisko odzianych w łachmany stworzeń dwunożnych, które wyglądają jak ludzie, lecz raczej są zwierzętami; a dla uzupełnienia obrazu — dozorcy z mosiężnymi guzikami, utrzymujący porządek i strofujący tych, którzy narzekają zbyt głośno.

Cieszyłem się jednak, że są dozorcy, ponieważ, nie będąc dziś w przebraniu włóczęgi, mogłem łatwo stać się łupem drapieżnych stworzeń, wałęsających się bez celu po ulicach. Między jednym a drugim dozorcą stworzenia te rzucały na mnie ukradkowe, pożądliwe spojrzenia drapieżników z rynsztoku, a ja bałem się ich rąk, ich gołych rąk, tak jak człowiek bałby się łap goryla. Byli niscy, krępi, niekształtni. Nie mieli szerokich ramion, ani mocnych mięśni. Przedstawiali sobą raczej najpierwotniejszą oszczędność natury. Tak musieli wyglądać ludzie jaskiniowi. Ale siła była w tych wychudłych ciałach. Dzika, pierwotna siła, zdolna gryźć, szarpać i miażdżyć... Slum jest ich dżunglą i w tej dżungli żyją i polują. Stworzenia niezdolne do pracy i niepotrzebne! Nieszczęsne, pogardzane i zapomniane, ginące w walce społecznej — potomstwo prostytucji; prostytucji mężczyzn, kobiet i dzieci, ludzi z krwi i kości, iskry bożej i dumy; krótko mówiąc — potomstwo prostytucji pracy. Jeśli to jest najlepsze, czym może nas obdarzyć cywilizacja — wróćmy do nagości czasów pierwotnych. O ileż lepiej jest być ludem z puszcz i pustyń, jaskiń lub szałasów, niż być ludem maszyny i otchłani.

Dlaczego wraz ze wzrostem potęgi cywilizacji, w takim samym stopniu rosła nędza? Przyczyną jest złe kierownictwo; wyjściem — spólnota socjalistyczna. Motyw zysku musi zniknąć. Społeczeństwo musi poprawić los prostego człowieka; zdolne jest przecież nawet w stanie obecnym do produkowania w ilości, zaspakajającej potrzeby. Społeczeństwo należy zreorganizować: produkcja na użytek, a nie na zysk. Gdy zniknie złe kierownictwo kapitalistyczne — zniknie z powierzchni ziemi piekło slumsów, powolnej śmierci głodowej, chorób, niedożywienia.

tłum. JERZY DZIAŁAK

*) The People of the Abyss, by Jack London, New York, Grosset and Dunlap, 1903.

E. SMIRNOWA

W 30-LECIE RADZIECKIEGO FILMU

W latach przedrewolucyjnych w Rosji gwałtownie rozwijający się przemysł kinematograficzny stanowił pole działalności dla spekulantów, agentów, małych i wielkich przedsiębiorców, których pociągała możliwość nieprawdopodobnych wprost zysków. Powstała niepokonalna przepaść między istotą sztuki filmowej, przeznaczonej dla milionów, a prywatną przedsiębiorczością produkującą utwory filmowe w przedrewolucyjnej Rosji. Społeczeństwo burżuazyjne, które zrodziło te sprzeczności sztuki filmowej w szerokim stopniu wykorzystało możliwość narzucenia masom swojego obrazu myśli właśnie za pośrednictwem kina i zamieniło filmy w propagandę swoich tez o niewzruszoności ustroju kapitalistycznego. Już pierwsze filmy rosyjskie przepojone były tą mieszczańską ideologią. O tym też myślał Lenin, twierdząc, że filmy burżuazyjne deprawują masy, zawartą w nich wstrętną treścią.

W odległych od nas czasach Lenin przewidywał jednak rozwój socjalistycznej sztuki filmowej, łącząc ją z masowością filmu, z jego zbliżeniem do ludu, z problemem partyjności bolszewickiej. Poglądy Lenina na film rozwijały się w toku rewolucyjnej walki Partii i dyktowane były bezpośrednio przez warunki historyczne, przez życie.

Pamiętając o potrzebach kultury socjalistycznej Lenin niejednokrotnie zwracał uwagę na kinematografię i w praktyczny sposób pomagał młodej radzieckiej sztuce ludowej. Jako przewodniczący Sownarkomu nie zapominał o problemach organizacyjnych przemysłu kinematograficznego, wykorzystywał wszystkie możliwości dla udzielenia materialnej pomocy tworzącej się kinematografii radzieckiej. Uzyskiwał środki konieczne dla produkcji filmowej w okresie, gdy kraj walczył z głodem, chaosem i ciężkimi następstwami wojny domowej. Praktyczna pomoc udzielona przez Lenina kinematografii radzieckiej łączy się z jego wypowiedziami na temat socjalistycznej sztuki filmowej. To, co przepowiedział w 1907 roku, w toku rewolucji i wojny domowej w praktyczny sposób urzeczywistniał.

Pierwszym większym zarządzeniem w zakresie filmu był leninowski dekret o unarodowieniu przemysłu filmowego z dnia 21 sierpnia 1919 roku. Dekret o unarodowieniu okazał się początkiem właściwej rewolucji w sztuce filmowej. Zróżniczkowana, rozdarta rosyjska produkcja filmowa, znajdująca się w rękach prywatnych właścicieli, stała się własnością państwa. Po usunięciu konkurencji i ordynarnego uzależnienia twórczości artystycznej od osobistych interesów kapitalistów otwarła się dla filmu nowa epoka, w której artysta wziął czynny udział w życiu społecznym, po partyjnemu uświadomił sobie swoje zobowiązania wobec ludu i rewolucji.

Urzeczywistniając rewolucyjny czyn unarodowienia kinematografii Lenin wskazał jednocześnie drogi, na których należało zrealizować zbliżenie sztuki filmowej do życia szerokich mas, do idei, którymi żył naród.

W rozmowie z A. W. Łunaczarskim wskazywał na to, że produkcję nowych filmów, przeniknietych ideami socjalizmu i wyrażających radziecką rzeczywistość należy zacząć od kroniki. W stwierdzeniu tym zawarta jest myśl, która wyznaczyła przyszłość tak radzieckiej kroniki filmowej, jako też radzieckiej kinematografii artystycznej. Istotnie — była to najważniejsza i najwartościowsza dla młodych artystów radzieckich droga zagłębienia się w sprawy i ideologię rewolucji, droga prowadząca do uczuć i myśli szerokich mas. Jedynie pracując wśród ludu młodzi radzieccy filmowcy mogli pojąć wielkość i wspaniałość tego, co dokonywało się w tym okresie czasu, tego co było gruntowną zagładą starego a początkiem istnienia nowego.

W latach 1920/21 z inicjatywy Lenina zorganizowane zostały pociągi i samochody, w miastach zaś ośrodki agitacyjno-instruktorskie. Żywe słowo, literatura, plakaty, płyty gramofonowe i film — wszystkie te środki zostały zmobilizowane dla wyjaśnienia szerokim masom ludzi pracy znaczenia prowadzonej wojny i dla zachęcenia ich do budowania nowego życia.

Lenin podpowiadał wówczas pracownikom kroniki filmowej, jakie tematy należy filmować, dopilnowywał wypełniania jego wskazówek, dbał o to, aby Komitet Filmowy zaopatrzony był w taśmę filmową i w inne koniecznie potrzebne materiały. Razem z tow. Stalinem Lenin zajmował się również zagadnieniami propagandy filmowej, troszczył się o to, by filmy radzieckie pokazywane były ludności, by docierały do najodleglejszych zakątków Rosji radzieckiej.

Dla nawiązania łączności ośrodka z prowincją, dla bezpośredniego zorganizowania pracy agitacyjno - propagandowej, dla pouczenia i kontrolowania miejscowych organów i organizacji, w końcu 1918 roku WCIK oddaje do dyspozycji tych ośrodków

Fragment krwawej demonstracji lipcowej w roku 1917 na ulicach Piotrogradu.

pociągi agitacyjne oraz przeznaczone do takiego samego celu flotylle parowców. Kierowano je przede wszystkim w okolice niedawno oswobodzone spod okupacji białogwardzistów i interwencjonistów. Szczególnie duże zasługi położyły w tej pracy pociągi i parowce agitacyjne „Imienia Lenina", „Imienia Rewolucji Październikowej", „Czerwony Wschód", „Czerwony Kozak", „Radziecki Kaukaz" i „Czerwona Gwiazda". Wyświetlano na nich posiadane a zarazem kręcono i montowano nowe filmy dla kroniki.

W ten sposób film również w owym czasie zajmował ważne miejsce w uświadamiających pracach partii. W rękach działaczy nowej, socjalistycznej kultury okazał się on ważnym czynnikiem propagowania idei komunistycznych, przewodnikiem partyjności bolszewickiej, częścią sprawy ogólnonarodowej, „kółkiem i śrubką" w nowej, socjalistycznej kulturze.

Już te pierwsze kroki kinematografii radzieckiej były wielkim czynem odnowienia filmu, umożliwiającym dojście do ekranu prawdziwym cechom życia narodowego. Ludowość filmu rodziła się z oddania sztuki filmowej w służbę ludu, w żywym, bezpośrednim kontakcie z nim.

Lenin trafnie ocenił masowość jako cechę powstającego właśnie filmu radzieckiego. Wyraził się on w rozmowie z Łunaczarskim, że dla nas ze wszystkich sztuk najważniejszą jest sztuka filmowa.

Już w trudnych latach chaosu po wojnie domowej Lenin postawił zagadnienie masowej produkcji filmów naukowo-popularnych, niosących narodowi wiedzę i kulturę. Domagał się on, by razem z filmami rozrywkowymi pokazywane były również filmy naukowo-popularyzacyjne oraz dokumentarne, aby stworzony został wyraźny program filmowy, którego celem byłoby tak bawić jako też uczyć widza. Cała ta akcja uświadamiająca widziana była przez Lenina z pozycji partyjności bolszewickiej. Wiedza, dokumenty mówiące o życiu powinny być tak ujmowane — uczył Lenin — by dawały wyobrażenie o wielkim wydarzeniu historycznym, jakie zapoczątkowała Wielka Październikowa Rewolucja Socjalistyczna.

W grudniu 1921 roku Lenin zapoznał się z przedstawionymi przez sekcję filmową Narkomprosu i Narkomwnutorgu projektami reorganizacji spraw filmowych. Wydaje wówczas polecenie stworzenia specjalnej komisji, która powinna była opracować dyrektywy w sprawie zdemokratyzowania wynajmu filmu.

We wskazaniach Lenina dla tej komisji czytamy między innymi, że dla każdego programu kinowego należy ustalić wyraźną proporcję filmów rozrywkowych oraz filmów o treści propagandowej (np.: o kolonialnej polityce Anglii w Indiach, o głodujących w Berlinie, o pracach Ligi Narodów itd.). Lenin polecał również dawać filmy o charakterze propagandowym do przejrzenia starym literatom-marksistom, zwracał uwagę na organizację sal kinowych we wsiach i na Dalekim Wschodzie, gdzie były one nowościami i gdzie nasza propaganda szczególnie będzie cieszyła się powodzeniem.

Z inicjatywy Lenina VIII zjazd partii w 1919 roku przyjął uchwałę o propagandzie politycznej i pracy kulturalno-oświatowej na wsi.

„Kino, teatr — czytamy w rezolucji zjazdu — koncerty, wystawy itd. powinny docierać na wieś. Należy uczynić w tym kierunku największy wysiłek i wykorzystać je dla propagandy komunistycznej tak bezpośrednio — to jest przez ich treść — jako też przy pomocy połączenia ich z wiecami i pokazami".

Tłum. *E. M.*

MARIAN PIOTR PŁATEK

POKAŻCIE NAM DROGĘ

Wieś Janowice leży niedaleko starego historycznego miasteczka Wieliczki. Straszna nędza gniotła od dawna Janowian. Gospodarstwa karłowate (od 1/4 morga do 4) mało dostarczały zboża z ziemi gliniastej i rędziny. Prawie wszyscy musieli „dorabiać" w kopalniach, fabrykach, na kolei. Młodzi ludzie po ukończeniu — w najlepszym razie — 4 klas szkoły powszechnej, szli w świat, poszukując pracy, której nie znajdowali. Wracali zatem do „ojców" na obciążone ludźmi gospodarstwo.

Tak w nędzy pańszczyźnianej, potem sanacyjnej i w ciemnocie żyła i pracowała wieś Janowice.

Stan ten zmienił się radykalnie w momencie powstania Polski Ludowej.

W roku 1947 kierownictwo publicznej szkoły w Janowicach zorganizowało kurs 7-mio klasowy dla wszystkich. Zgłosiło się kilkunastu młodych ludzi chętnych do nauki. Od nich to wyszła propaganda czytelnictwa na wsi.

„Biblioteka czynna w środy i piątki". Taki napis widnieje na drzwiach szafy szkolnej, w której mieści się biblioteka gromadzka.

Z tej biblioteki korzystają najczęściej ludzie starsi, a szczególnie niezaawansowani jeszcze w czytaniu. Dzieje się to w ten sposób, że ktoś ze starszych czyta dobrą książkę i zdobytymi ciekawostkami dzieli się przy piwie ze swoim kumem. Ten zaciekawiony zapisuje się do biblioteki i żąda książki, o której słyszał. Po przeczytaniu tejże sięga po następne, pytając przy tym bibliotekarki: „która będzie ciekawa". Naprzykład taką serię czytelników (jak się dowiaduję od nich samych) przeszła książka „O księdzu Piotrze Ściegiennym". Książka ta w jednym miesiącu była ponad 15 razy czytana. Przeglądałem spis czytanych książek biblioteki koła ZMP., która liczy obecnie 70 tomów, dostępnych nie tylko członkom Koła. Okazało się, że w ostatnich miesiącach najpoczytniejsze były książki z dziedziny gospodarstwa, jak np. „Sadownictwo", „Społeczeństwo pszczół", „Chów bydła", „Chów świń" i inne.

Drugie miejsce w poczytności zajęły książki pierwszej serii KUK-u, a wśród nich „Nędznicy" Wiktora Hugo i „W roztokach" Wł. Orkana.

Decydującą rolę w rozpowszechnianiu książek na wsi odgrywają szczególnie uczniowie szkół średnich (biorąc pod uwagę ludzi starszych) oraz bibliotekarze. Ci drudzy zasadniczo powinni umieć wybrać dobrą książkę dla początkującego czytelnika, aby go zachęcić do dalszego czytania, lecz nie zniechęcić. Winni oni przejść odpowiednie kursy, by w krótkich słowach informacyjnych bardzo jasno i zrozumiale umieli przedstawić treść i wartość dobrej książki czytelnikowi. Do lepszego poznania przemian społecznych na wsi potrzebna nam jest znajomość nowej literatury, która w naszej wsi jest jeszcze nie bardzo znana. Zaledwie kilka osób zna dzieła Kruczkowskiego, L. Rudnickiego i Pogana. Sytuacja ta musi ulec zmianie na lepsze. W bibliotekach gromadzkich napewno się te dzieła znajdują, lecz oświatowcy nie umieją ich „zanieść czytelnikowi", aby ci umieli poznać ich piękno.

Lecz kryje się między Janowianami wiele ludzi, którzy rozpowszechniają wśród młodych lekturę wstęczną. Zajmuje się nią tylko młodzież chłopów-bogaczy, chodząca „luzem". Zaś książki o dużej wartości tj. książki postępowych współczesnych pisarzy odsuwa ta młodzież na drugi plan.

Książki współczesnych pisarzy najczęściej traktują o zagadnieniach walki klas, oraz przemianach społecznych. Człowiek — bogacz wiejski, nienawidzący postępu, nie weźmie takiej książki do czytania, gdyż byłoby to sprzeczne z jego ideologią. On czyta literaturę szlachecko-klerykalną. Przeciwnie zaś postępują w tym wypadku biedacy wiejscy. Czytają literaturę, która bezpośrednio omawia ich dawne położenie, aby dociec głębiej i poznać to, co ich gnębiło, bo tylko wtedy, znając swą dolę, można otwarcie i srogo wydać walkę temu co trzymało lud w nędzy, zacofaniu i ciemnocie.

Na wsi przede wszystkim młodzież zetempowska ma do spełnienia jedno z głównych a bardzo trudnych, lecz zaszczytnych zadań, tj. zachęcanie mieszkańców wsi do czytania. Lecz często zdarzają się jeszcze tacy członkowie, którzy nie tylko nie zachęcają innych do czytania, ale sami nic nie czytają.

Większość jednak zetempowców wiejskich uczących się w szkołach średnich należycie wypełnia swe obowiązki. Przeważnie pod ich przewodnictwem prowadzone są wszelkie prace kulturalne na wsi.

Bardzo często są zamieszczane różne moje notatki w tygodniku ZMP. „Nowa Wieś". Wiadomość o tym momentalnie rozchodzi się po wsi i już wszyscy ciekawi co napisałem, kupują „Nową Wieś" i czytają. Czyż nie podobnie dzieje się z czytaniem książek? Niewątpliwie, tak!

Wieś, znając autora, z ciekawością bada, „co on tam napisał". Jakżeż to miło czytać książkę autora, którego się osobiście widziało. Trzeba to wykorzystać, trzeba na szerszą skalę zorganizować wyjazdy literatów w teren. Niech każdą wieś odwiedzi powieściopisarz, poeta, krytyk literacki.

Pragniemy oświaty, więc Wy nam pokażcie do niej drogę. My w terenie przygotowujemy Wam problemy ludowe warte opisu — Wy zaś powinniście je na miejscu poznać. Wtedy i książka i jej recenzja będzie dla nas jasna i zrozumiała, bo będzie ludowa.

Marian Piotr Płatek

ANDRZEJ BRAUN

PRZECIW OBSZARNICZEJ LEGENDZIE

Mikołaj Ostrowski należy do najbardziej popularnych autorów radzieckich. Jest to popularność zarówno autora, jak i bohatera. Postać fikcyjna stworzona przez pisarza jest jednocześnie kopią samego twórcy. Najwspanialszy i najlepiej ukazany pozytywny bohater w piśmiennictwie radzieckim, Paweł Korczagin „Jak hartowała się

Mikołaj Ostrowski.

stal", to właśnie sam autor. Opowieść o jego losach i pracy nad sobą — to historia życia Mikołaja Ostrowskiego: Korczagin, to młody komsomolec, biorący aktywny udział w Rewolucji Październikowej i wojnie domowej, organizujący następnie w małym miasteczku prowincjonalnym komsomoł. Korczagin walczy z bandami kontrrewolucji, w okropnych warunkach mrozu i głodu buduje kolej, obejmuje wszystkie posterunki, na które posyła go partia. W wieku dwudziestu kilku lat, na skutek ciężkich warunków pracy i walki, odnawia mu się dawna kontuzja odniesiona w czasie wojny. W krótkim okresie czasu traci władzę w nogach i ślepnie. Nie mogąc w tej sytuacji pracować organizacyjnie, postanawia w inny sposób stać się pożyteczny społecznie. Ogromną siłą woli pokonuje trudności, zdobywa wykształcenie i umiejętności pisarskie, zaczyna pisać. Tak powstała najgłośniejsza powieść wychowawcza. Obraz niewidomego, przykutego do łóżka pisarza, to symbol tych tendencji wychowawczych, które wydobywają z natury ludzkiej pierwiastki znane nam skądinąd z „Opowieści o prawdziwym człowieku" Borysa Polewoja, opartej również na przeżyciach rzeczywistej postaci. Bohaterstwo to polega na owładnięciu samym sobą, aby działać pożytecznie nawet wtedy, gdy warunki zewnętrzne i najstraszniejsze kalectwo uniemożliwiają wszelkie działanie. Ale Ostrowski nie poprzestał na tej jednej powieści. Pracując ślepy, sparaliżowany, z chorym sercem, pękającą od nieznośnego bólu głową, pisał do ostatniej chwili swą drugą książkę, której już nie zdążył skończyć. Umarł w grudniu 1936 roku. Druga powieść tego tytana woli to „Zrodzeni z burzy" *). Jest ona dla polskiego czytelnika szczególnie interesująca, choć nie reprezentuje koncepcji na miarę „Kak zakaliałaś stal". Założenia „Zrodzonych z burzy" są całkiem odmienne. Powieść obrazuje okres przełomowy na Wołyniu, gdy w momencie zakończenia pierwszej wojny światowej z jednej strony — obszarnictwo polskie i legioniści (P. O. W.) usiłują po załamaniu się armii niemieckiej przejąć władzę nad tymi terenami w swoje ręce, a z drugiej — proletariat tamtejszy, bez różnicy narodowości, zaktywizowany rewolucją październikową, organizuje walkę o wolność społeczną i władzę rad. Mamy więc tu odmalowany ów „bojowy okres piłsudczyzny" ze stanowiska lewicy. Czytelnik polski zna te sprawy z wielu powieści polskich owego okresu. I nigdzie chyba, jak wogóle zresztą w sprawach tzw. byłych „kresów wschodnich", nie został tak zasugerowany jednostronnym, kłamliwym i klasowo najcyniczniej wykoślawionym obrazem, jak w burżuazyjnych relacjach o „powstawaniu państwa polskiego". O ile wypadki historyczne zostały nieco zrewidowane, legionowa legenda zachwiana, o tyle obraz beletrystyczny 1918 roku na kresach, przez przeciętnego czytelnika — widziany jest oczyma obszarniczek, wygnanych ze swych majątków na Ukrainie (Maria Dunin Kozicka „Burza od wschodu", Zofia Kossak Szczucka „Pożoga"), albo oczyma tak licznych kombatantów czy „zdobywców" legionowych, czy wreszcie nawet dwójkarzy i szpiegów (Sergiusz Piasecki). Dlatego ukazanie tych czasów z krańcowo przeciwnego stanowiska daje dużą atrakcyjność powieści Ostrowskiego. Jest to pierwsza książka, ukazująca nie z nacjonalistycznego, obszarniczego stanowiska, jak budowano zręby odrodzonego państwa polskiego na Kresach, wśród społeczeństwa narodowo obcego a społecznie uciskanego. Jest to powieść o stosunkach polskich. Stąd jej waga dla czytelnika polskiego, większa może aniżeli dla obywatela ZSRR. I co ciekawsze, dla tegoż przeciętnego czytelnika, wychowanego na „historii powstawania Rzeczypospolitej", lansowanej w szkołach dwudziestolecia, przy pierwszym czytaniu powieść Ostrowskiego wyda się z pewnością „antypolska" (nawiasem dodam, że wśród pisarzy polskich jedynie Wanda Wasilewska uchyliła nieco zasłony kryjącej stosunki kresowe). Ale też „antypolskie" było stanowisko tamtejszego ludu w roku 1918. Kim przede wszystkim są ci „Polacy"?

*) Mikołaj Ostrowski: Zrodzeni z burzy, PIW, 1949.

Ostrowski — i na tym polega wartość powieści — przeprowadza konsekwentnie rozwarstwienie klasowe społeczeństwa, które opisuje. Robi to precyzyjnie i bez wyjątków, tak, że chwilami zdaje się, że ukazanie tej ściśle posegregowanej panoramy wielonarodowego społeczeństwa jest głównym celem pisarza. Obok rodzin obszarniczych mamy proletariat polski, służbę dworską, przemysłowców i kapitalistów. Wszędzie są antagonistyczne klasy: obok nędzy proletariatu żydowskiego mamy kapitalistę Abramachera. Obok atamana Petlury mamy internacjonalistyczny proletariat ukraiński, oficerów niemieckich — szlachciców, mamy zrewolucjonizowanych, „zarażonych" bolszewizmem i zrażonych do wojny imperialistycznej żołnierzy niemieckich.

Obok precyzyjnego rozszczepienia klasowego ukazuje Ostrowski rzeczywiste związki i sojusze w obronie wspólnych interesów. Celem objęcia władzy w terenie konfederują się obszarnicy z szlacheckich rodzin z nuworyszowskimi fabrykancikami, z przemysłowcami i kapitalistami żydowskimi, z jezuitami i kościołem, a nawet z wojskiem niemieckim, dotychczasowym okupantem, później nawet z białogwardyjskim Petlurą — Ukraińcem. Sojusz ten skierowany jest przeciw rewolucyjnemu proletariatowi i chłopstwu, przeciw działającej już Partii Komunistycznej. Autor pokazuje, że przedziały narodowe są fikcją, przedziały klasowe — rzeczywistością. W obozie rewolucjonistów mamy obok tak pięknych postaci Polaków jak Rajewski, także Ukraińców, Żydów — robotników z miasta, lokai z dworów i chłopów ze wsi, czy żołnierzy dezerterów z więzień. Pokazany jest internacjonalizm proletariatu, ale pokazana jest także ponadnarodowa, kosmopolityczna pozycja obszarnictwa. Jeden Mogielnicki jest oficerem niemieckim, a drugi rosyjskim gwardzistą, później sztabowcem francuskim, wreszcie pułkownikiem polskim. Wczorajszy wróg aliancki staje się, gdy tego potrzeba wymaga uniżonym przyjacielem Niemców.

To umiejętne rozwarstwienie społeczne staje się niezwykle pomocne w powieści dla uplastycznienia i uzasadnienia wydarzeń, konfliktów i związków między ludźmi czy grupami.

Ale równocześnie uniknął autor schematyzmu, czy automatyzmu socjalnego. Ludzi dzieli nie tylko przynależność klasowa i interesy materialne, ale także stopień uświadomienia społecznego. Przygodzki dzięki doświadczeniom osobistym (sponiewieranie żony na służbie) oraz dzięki wpływom otoczenia (pobyt na terenach bolszewickich), aktywnie walczy z „panami", została w nim obudzona nienawiść pełna, ale jego ojciec jest wiernym „starym sługą". Sara trafia do Związku Młodzieży Komunistycznej, ale jej cała rodzina to bierni, zastraszeni wyrobnicy żydowscy, oddzieleni murem przesądów od społeczeństwa, niedostępni duchowi internacjonalizmu. W szeregi Partii pcha ludzi zarówno krzywda ekonomiczna, prześladowania, wpływ czasu, epoki, rewolucji bolszewickiej (dezerterzy), tradycja wieloletniej walki rewolucyjnej i głęboka świadomość klasowa (Zygmunt Rajewski), jak i motywy w dużym stopniu osobiste (wpływ ojca na Rajmunda Rajewskiego, miłość Andrzeja Płachy do Olesi etc.), a wreszcie prymitywnie pojęte korzyści materialne.

Osią powieści jest historia walki o władzę, toczona po załamaniu się armii niemieckiej, przez obszarnictwo polskie z jednej, a zrewolucjonizowany proletariat — z drugiej strony.

Dokumentacja historyczna i polityczna książki przeprowadzona jest w sposób obfity i godny podziwu, a właściwe spojrzenie na wypadki pozwoliło utalentowanemu pisarzowi na zbudowanie konfliktów powieściowych i postaci, doskonale mieszczących się i wynikających z dialektycznie pojętej historii. Każda scena i sytuacja powieści dopełnia interesująco i logicznie obraz opisywanej rzeczywistości, każda mimo to ma pozory przypadkowości, indywidualności, pozory wynikania tylko z artystycznego pomysłu autora. Ostrowski, co jest szczególnie ważne dla naszych pisarzy, próbuje stworzyć tu typy pozytywnych bohaterów, ludzi walczących przeciw uciskowi społecznemu i narodowemu.

Książka Ostrowskiego posiada, zwłaszcza dla czytelnika polskiego olbrzymią wartość poznawczą i wychowawczą. Uczy, jak należy patrzeć na polską rzeczywistość (oczywiście w tym wypadku minioną) pisarzy polskich. Lekcja godna zastanowienia. To już nie książka na miarę Szołochowa, dotycząca „wielkich spraw rosyjskich", ale małych spraw polskich, oglądanych jednak w wielkiej perspektywie.

Andrzej Braun

ANTONI OLCHA

ZAMAWIAMY SATYRĘ...

Większość gazet i czasopism, prowadzących rubrykę pn. „Humor i satyra", przedrukowuje na ogół stare dowcipy, które dobrze się wysłużyły innym czasom i innym ludziom, ale dzisiaj najczęściej nie mają już siły, żeby wywołać bodaj półuśmiech u czytelnika. Dowcip nie posiada przywileju „ponadklasowości"; przy „odgrzewaniu" go trzeba pamiętać o tej żelaznej zasadzie.

Tu i ówdzie można spotkać podszminkowane anegdotki — staruszki, które można porównać do dziewięćdziesięcioletniej pani, udającej fruwającego podlotka. Znany tygodnik humorystyczno - satyryczny wyciska często u czytelnika łzy współczucia dla zespołu redakcyjnego, zmuszonego watować numery całymi kolumnami korektorskich i autorskich błędów, potknięć wyłowionych przez pilnych tropicieli takowych. Dodajmy, że komentarze, jakimi często bywają opatrywane owe wycinki, budzą poważniejsze zastrzeżenia. Na przykład: wykpiwając śmieszny podpis pod podziękowaniem dla lekarzy, którzy uratowali życie matki i dziecka przy porodzie, pewne pismo uderza wulgarnym dwuznacznikiem w ową matkę, która porodziła. Dowcipas niesmaczny, obraźliwy i wyrządzający krzywdę nie autorowi śmiesznego podpisu dziękczynnego ogłoszenia, lecz kobiecie.

Większe i mniejsze głupstwa, popełniane przez prasę, żywią szpalty wielu czasopism. Zdarza się, że nad tym samym błędem korektorskim pastwią się trzy i cztery pisma równocześnie. Uderza brak proporcji i zdrowego umiaru. Gorzej, że różni „kamerzyści" biorą ochoczo na widły nawet te dzieła, które potem inne poważne pisma polecają jako godne uwagi itd. (przykład: „Lipnicki świat" Goździkiewicza).

Gdy z takim rozmachem tańczy się wokół potknięć codziennej prasy, gdy na docinki z głupstewek nie żal dwóch szpalt w piśmie dużego formatu, lub całej kolumny mniejszego formatu, brakuje miejsca na wyczerpujące informacje o nowych książkach, na sensowne artykuły krytyczno-literackie, brakuje miejsca na ciętą, dzisiejszą, zrośniętą z życiem satyrą; brakuje miejsca na współczesny, zdrowy śmiech.

Czołowy tygodnik, poświęcony sprawom satyry i humoru, wykpił np. ostatnio czasopisma, że na wyprzódki drukują recenzje z tomików wierszy o „łzach", „bzach" i „snach", a o satyrze ani dudu! Przeczytałem satyrę i pomyślałem: autor bawił przez pięć lat na księżycu. Toć obecnie prędzej wielbłąd przejdzie przez ucho igielne, aniżeli się poeta doczeka recenzji! W danym wypadku satyryk haniebnie spudłował ku uciesze opieszałych krytyków poezji, chociaż słusznie się domagał skrytykowania satyry.

Krytyka tego „rodzaju literackiego" jest oczywiście pożądana i konieczna. Mam wrażenie, że przydałaby się przede wszystkim „Szpilkom". Tygodnik ten, mający piękną, bojową tradycję, dziś kuleje, kwęka, szuka drogi i kluczy, ale nie daje czytelnikom tego, na co czekają. Stosunkowo najlepsze, najbardziej celne karykatury, satyry i dowcipy „Szpilek" dotyczą wydarzeń politycznych, szczególnie wydarzeń z polityki międzynarodowej. Jeśli zaś chodzi o polską

współczesność — to bukiecik wielomiesięcznego dorobku satyryków i humorystów jest bardzo skromny. Widać, że tutaj chodzą jak po tafli lodu. „Obowiązującym" jest tu dowcip oparty na karpuszkowym nonsensie, „obowiązująca" wymyślna golizna postaci Maji Berezowskiej. „Szpilki" posługują się wieloma chwytami, mogącymi zadowolić wąski krąg inteligentów „starego typu", ludzi świadomie rezygnujących z uczestnictwa w budowie nowej rzeczywistości. Ale gdzież są powszednie sprawy naszych fabryk, biur, spółdzielni, ośrodków maszynowych, szkół, świetlic; sprawy, którymi żyje człowiek w fabryce i na roli?

Mam przed sobą kilkadziesiąt listów od czytelników — chłopów i robotników z różnych stron kraju, którzy natarczywie domagają się, zamawiają dobrą, współczesną satyrę, dobry współczesny żart. Wymieniają tematy. Wynotuję niektóre.

T. Sułkowski z Osieka: wykpić karciarzy, zachęcić młodzież do czytania gazety i książki. Czytelnik ten opisuje wspaniały rozkwit spółdzielni gminnej i domaga się wyśmiania ludzi, którzy przeszkadzali lub stali z boku, nie wierząc w pomyślny jej rozwój. St. Motosek z Patok: zły i dobry sołtys na wsi. W. Rząd z Leśniczówki pod Lublinem: niech satyryk weźmie w obronę dzieci, zmuszone do pasienia bydła i pracy w polu, co odbywa się oczywiście kosztem nauki.

E. Domek, Obwodowo: walka z mszycą na burakach cukrowych.

Z. Gruss, Smotarnia: zachęcić do inicjatywy społecznej w budowie szkół. H. Dziuba, Biała: wyśmiewać tych, którzy nie chcą należeć do organizacji; także młodzież, stroniącą od sportu. Z. Głomski, Tczew: wykpić źle zorganizowany skup owoców; napisać historię kilkudziesięciu kg zmarnowanych wiśni. H. Szczepański, Wygoda: tępienie stonki ziemniaczanej i zaniedbania w tej dziedzinie; obudzenie większego zainteresowania bibliotekami gminnymi; biurokracja w urzędzie gminnym. T. Juras, Silna: różne kłopoty spółdzielni przy skupie żywca.

Takie i inne zadania społeczne stawiają satyrze czytelnicy. Z przytoczonych wyżej przykładów widać, że chcą dowcipu, wyrosłego na gruncie nowej, z trudem budowanej rzeczywistości. Chłop spod Lublina, robotnik w Ursusie czy we Wrocławiu, chcieliby zobaczyć w krzywym zwierciadle to, co im przeszkadza w pracy, co im utrudnia podniesienia jej wydajności; chcieliby zręcznego, w miarę ciętego dowcipu na temat ich własnych przywar i niedociągnięć; chcieliby znaleźć w czasopismach także ten trudny gatunek humoru, który nie ośmiesza i nie poniża, lecz opromienia uśmiechem radości prace, godną pochwały.

Humor i satyra, tworzone z tego, co rzeczywiście tkwi dzisiaj w życiu społeczeństwa — oto zadanie. Chcąc je wykonać — trzeba zabłądzić „pod strzechy".

JÓZEF OZGA-MICHALSKI

OPOWIEŚĆ DZIADOWSKA

Nogi mu rozsadził mróz,
ręce zdarte są od pracy,
z głodu jak z sytości puchł
i rozum utracił.
Nie wie już, którędy naprzód,
albo gdzie się wrócić dziś.
Nie okiem a kijem patrzy,
węchem jada barszcze z mis.
Lecz to dzisiaj nic nie znaczy
spotkałem go — Eh panowie!
w mojej wsi przy Bożej Stacji,
kiedy Chrystus zwiesił głowę
i rzekł do mnie — „rób co chcesz,
ty tam teraz lepiej wiesz".
W marnym polu — marna stacja
jaworowa — plus akacja.
Wiatер gwiżdże w szczerym polu
jak parowa lokomotywa,
a tu dziada nogi bolą,
idzie sobie — odpoczywa!
Biskupowie, konduktorzy,
proboszczowie, maszyniści
taka droga człeka trwoży,
gdy dmie wiater zamaszysty —
Wziąłem Dziarmagę za rękaw
(znałem go od młodych lat),
gdy drwa rąbał jak grzmot stękał
sęki łupał, jak grał z kart.
I powiedział mi historię
tak paradną, że u diabła
dzięki niej na świecie żyję,
z nieba mi na ziemię spadła.
Siedliśmy na starym płocie
co kołysał się na wietrze,
on wyjmował z ust owoce
tej historii, jako rzekłem.
„ — Raz przyszedłem do biskupa,
biskup zwał się Grabiec,
nałupałem drzewa z buka,
naniosłem mu za piec.
Wyszedł do mnie z żerdką złotą,
co się zwie pastorał,
uśmiechnął się i z ochota
zaprosił na obiad.
On ze złotą laską
a ja z toporzyskiem,
siedzimy przy misce,
jak święci z obrazka
co jedną jagodą
dzielili się młodą,
jedną ćmili faję
pod zielonym gajem.
Rzecze biskup do mnie
po sutym obiedzie
— Wierzysz teraz w Boga
mój bliźni sąsiedzie?
— Jakże bym nie ufał
i w aniołów wierzę
wylatują w puchach
nad kościelną wieżę.
Najadłem się klusek
z mości dobrodziejem
i wypiłem kufel
wonnego oleju.
Słodko się nachylił
i zanucił psalm —
co wam moi mili
najlepszego dam?
I daje mi pierścień
ze szczerego złota,
który lśni jak szerszeń
w słoneczną spiekotę.
Zadzwonił w mej torbie,
jak schwytany bak
— zabija go paskud,
gdy chwyci do rąk.
A wreszcie powiada
— masz niedźwiedzie futro
to dzisiaj — a resztę
dołożę ci jutro.
Ja wtedy wyciągam
siekiery stylisko
i mówię — jak dajesz
to dawaj dziś wszystko
I łup go przez plecy
kropidłem grabowym
tak bije woźnica,
gdy koń się znarowi.
A on słodko do mnie
uśmiechając się
oddaje skromnie
drugi pierścień —
Wtedy ja znowu
nacieram i łap cap
powalam na ziemię
biskupa Grabca
i łoję tęgo
purpurowy zad,
a on się śmieje
niezmiernie rad.
— Powiada — jest tam
w szafie wino
pij i bij mnie
droga dziecino,
twoja praca
wystruga z biskupa
świątka
do wiejskiego słupa.
A ja łoję, a ja leję
aż pot ze mnie
strużką płynie
on wesoły, promienieje
jakby w karty grał przy winie.
Jest tam kompot
zimny w szafie
napij się mój miły drwalu.
Szlak mnie trafia
nie pomału,
ale pijąc leję dalej.
W końcu gdy nie czuję rąk,
litościwy biskup wstał
i wybawił mnie od mąk
kwartę mi dukatów dał".
Tę wymowną powieść
usłyszałem ja tej nocy
z ust Dziarmagi
który zmarł
z głodu, zimna i ran.
Ulitujcie się prorocy,
pozwólcie mu tą opowieścią
drogę sobie do nieba mościć,
bez niej byłby, jak bez kija,
którym dał moc swojej prawdzie.
Ona się jak kwiat rozwija
choć kij rozsypał się w drzazgę.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.
Redaguje Komitet.
Adres Redakcji i Administracji: WARSZAWA, ul. Starynkiewicza Nr 7.
Tel. Redakcji bezpośredni 8-12-74; oraz 8-67-80 i 8-83-75, wewn. 69 i 87.
Wyd.: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.
REDAKCJA NIE ZAMÓWIONYCH RĘKOPISÓW NIE ZWRACA.
Ogłoszenia przyjmuje Administracja — WARSZAWA, Starynkiewicza 7.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 80,— zł; kwartalnie 240,— zł; półrocznie 480,— zł; rocznie 960,— zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I—6841 z zaznaczeniem „za tyg. „Wieś".
Drukarnia nr 2 Spółdz. Wyd.-Ośw. „Czytelnik", Marszałkowska 3/5.
B-83560

FAKTY I ZDANIA

Koledzy po mieczu i kądzieli

Proces byłego generała hitlerowskiego von dem Bacha, znanego oprawcy Warszawy, obfituje w kapitalne momenty. Oto jeden z nich. Prokurator zapytuje, o czym rozmawiał von dem Bach z gen. Borem-Komorowskim po upadku powstania. Odpowiedź brzmiała: „Prowadziliśmy rozmowy czysto towarzyskie. Oprócz tego rozmawialiśmy o potrzebach Bora i jego grupy oficerów, potrzebach, związanych z miejscem ich zamieszkania, jedzeniem i udogodnieniami. Bór-Komorowski postawił mi kilka pytań, między innymi i to: dlaczego pan jest inny, niż pozostali oficerowie niemieccy?... Odpowiedziałem mu, że w żyłach mych także płynie słowiańska krew, że rodowe nazwisko mojej matki brzmiało — Szymańska i wtedy wspólnie z Borem-Komorowskim ustaliliśmy, że przodkowie nasi otrzymali tytuły hrabiowskie od króla Jana III Sobieskiego pod Wiedniem".

Tak sobie gwarzyli dwaj „słowiańscy" hrabiowie, których powiązała wspólna rasa, krew i wspólny cel: zniszczenie Warszawy.

pp

Czas zamknąć interes

„Kulturtraegerzy" emigracji londyńskiej doszli wreszcie do przekonania, że coraz mniej Polaków decyduje się na czytanie ich pism. Niejaki p. Jasiński nie bez melancholii pisze w „Wiadomościach": „Czasem widuję tego lub owego towarzysza pracy przy pośpiesznym posiłku w kantynie. Ujrzą mnie, bywa, zaczytanego w polskim piśmie. Mówią: — Pan wciąż kupujesz tę truciznę? Przekładam im: to jest inne. Niech pan sam zobaczy. I próbuję nakłonić do przeczytania jednego artykułu „Wiadomości". Odpowiadają: — Idź pan do cholery... Nie pomagają ani ankiety, ani zwalanie winy na czytelnika, że czytać więcej nie chce. Ma rację, że nie chce. Ma tego dosyć, po gardło".

Jak na publicystę „Wiadomości" całkiem szczerze. „Rząd" bez poddanych, generałowie bez wojska, „partie" bez członków, a teraz i czasopisma bez czytelników. Najwyższy czas zamknąć interes. Bo nie idzie.

J. S.

Ruch łączności

Sojusz robotniczo-chłopski, gwarancję zwycięstwa socjalizmu, realizuje nie tylko oficjalna polityka PZPR-u i S.L-u, nie tylko rozwojowa struktura Państwa Ludowego. Stał się on już czynnikiem, który przeniknął w codzienną walkę i pracę mas.

Wyjazdy ekip robotniczych na wieś, początkowo podyktowane doraźnymi potrzebami chłopów oraz troską świadomego aktywu robotniczego o właściwe funkcjonowanie wsi, dziś stały się planową akcją, mobilizującą załogi wielu fabryk, akcją, która wypracowała już własne formy organizacyjne.

Wydział Propagandy KC PZPR wydaje nawet specjalny miesięcznik „Fabryka i wieś", stanowiący poradnik dla robotniczych ekip łączności ze wsią.

Inicjatywa aktywu robotniczego rozwinęła się już w zorganizowaną akcję, zyskała poparcie i opiekę ze strony czynników partyjnych.

Dotychczas jednak nie została przeprowadzona właściwa wymiana kulturalna między miastem i wsią.

W roli strony świadczącej, a co za tym idzie także i dojrzewającej w działaniu występują wyłącznie robotnicy.

Należy koniecznie zaktywizować wieś, zorganizować wypady zespołów chłopskich do miast, wprowadzić je do świetlicy robotniczej, skontaktować z życiem i pracą fabryki.

Aktywny wkład wsi w życie świetlicy robotniczej będzie miał ogromne znaczenie wychowawcze przede wszystkim dla zespołów chłopskich.

mr

A dalej?

Amerykański Sekretarz Stanu Acheson opracował 1000 stronicowy memoriał, który ma udowodnić, że rząd USA zrobił wszystko, aby ocalić Czang-Kai-Szeka przed klęską. Ponad pół miliarda dolarów przekazano na uzbrojenie 3 milionowej armii Kuomintangu. A jednak tak wielka, nowocześnie uzbrojona armia uległa wojskom ludowym, źle wyposażonym i znacznie mniej początkowo licznym. Dlaczego? Dlatego, że amerykańscy imperialiści mieli i mają wątpliwej wartości sojuszników.

Acheson z rozbrajającą szczerością wyjaśnia, że takiej korupcji, nadużyć, samowoli, nieudolności wodzów jak w Chinach Kuomintangowskich nie widział nigdzie. Nie pamięta także w historii takiego faktu, jak przejście 90.000 żołnierzy na stronę przeciwnika. A tak stało się w prowincji Hunan, gdzie blisko 100.000 armia, nowocześnie uzbrojona przez kapitał amerykański, oddała się do dyspozycji Chin Ludowych. Acheson przyznał również, że próby wzniecenia kontrrewolucji za amerykańskie pieniądze nie powiodły się.

Podobnie niewesoło brzmią francuskie raporty z Indochin. Od stycznia straciły wojska, broniące interesów kolonistów, ponad 10.000 ludzi i trzymają się jeszcze tylko w kilku miastach. Żołnierze algierscy, tuniscy i marokańscy przeszli na stronę Vietnamczyków, tworząc „Wolną Brygadę Północno-Afrykańską".

Rząd francuski, który jeszcze nie tak dawno zapowiadał „decydujące ofensywy", „ostateczne kroki", wezwał vietnamczyków do zachowania braterskiego pokoju.

Imperializm — jak wiadomo — pokoju nie lubi. Często natomiast — pod pozorem jego utrzymania — kapituluje. O pokój i porozumienie prosił przecież Kuomintang przed ostateczną klęską. Przyszła teraz kolej na kolonistów francuskich. A dalej?

kj.

Oś W — W

Po fali oburzenia na wystąpienia papieskie, przyszła w terenie, na głębokiej prowincji, na wsiach polskich fala wykpiwania Watykanu.

Logika faktów historii ostatniego 20-lecia stoi jasno i wyraźnie chłopom w głowach. I w jej świetle śmiech i drwinę wywołuje na wsi polityka Watykanu. Oto przykład tej spontanicznej satyry i pamfletu:

„W myśl watykańskiego kanonu,
Zwrócić się trzeba do Waszygtonu
I złączyć się silnym węzłem
przyjaźni,
Oto czym się papież w Watykanie
błaźni.
Najpierw papież Niemcom
błogosławił,
Po to by Hitler narody „wybawił"
Od niosącego sprawiedliwość
komunizmu,
Oto były cele papieża i faszyzmu.
A lud jęczał w niemieckiej niewoli
I zwracał oczy na wschód w ciężkiej
niedoli,
Skąd wreszcie doczekał wyzwolenia.
A Watykan co dał? — grobowe
milczenie!
Teraz popiera amerykańskie trusty,
Którymi kierują bussines-oszusty.
My na te wszystkie papieskie
knowania
Odpowiemy rytmem pracy
i zbratania!

ZDZISŁAW PIĘKOŚ
Odrowąż, pow. Końskie

Nie Krasicki ale... biskup warmiński

U nas w Warmii, w Olsztyńskim, nie było wprawdzie „cudów mniemanych", jak w lubelskim, mieliśmy jednak do czynienia z inną próbą posiania zamętu na wsi przez hierarchię kościelną, i to również w okresie żniw.

Sprawa ta bierze swój początek — proszę was — od wiosny. Wtedy to, kiedy na polach można było już dojrzeć zapowiedź pięknych zbiorów, nie mało plebanów wraz z całą reakcją wściekało się, że u nas piękne zboża, a w Stanach Zjednoczonych susza, a na Zachodzie powódź. Kiedy nadeszła pora żniw i deszcze, utrudniające zbiory, wymagające czujności, każące wykorzystywać każdą chwilę przejaśnienia, wymagające zbiorowej współpracy i sąsiedzkiej pomocy — dano (skąd?) hasło pielgrzymek, odpustów i misji masowych. W powiecie piotrkowskim, jak mi opowiadano, urządzono w tym czasie 3 odpusty, werbując ludzi z gmin za pośrednictwem zakonników i domagając się konnych banderii.

U nas w Olsztyńskim na odmianę wymyślono misje. Czy chciano nawracać Mazurów — autochtonów? Czy też chłopów — repatriantów z dawnej Polski B?

To Mazurzy żądają, aby nawrócono spaczoną politykę Watykanu, bo Watykan do dnia dzisiejszego nie uznaje powrotu Warmii i Mazurów do Polski i do dnia dzisiejszego utrzymuje tylko administratorów biskupów i administratorów parafii.

„Wiadomości Diecezjalne" w ub. roku zamieściły nekrolog po śmierci zaciekłego wroga polskości, biskupa warmińskiego, Kellera, który po ucieczce z Polski organizował Masurenvolk i prowadził antypolską działalność. W tym numerze Kuria Biskupia oddała hołd „wielebnemu księdzu biskupowi". Dla takiej Kurii, dla takiej hierarchii kościelnej również Ignacy Krasicki, wielki poeta, patriota i reformator, byłby tylko — *„biskupem wielebnym"*. A właściwie nawet i nie tak. Krasicki nie jest dla nich wielebnym biskupem, bo był libertynem, postępowcem. Ale Keller jest „wielebny" — a był polakożercą.

Chłopi osadnicy zza Wisły, to w większości dawna biedota. Czy misje liczyły na nierozerwalny związek nędzy z ciemnotą? Ale w tym sęk — że ci chłopi wyszli właśnie z nędzy na progu nowej Polski, która im oddała powrócone ziemie macierzy. Nowa Polska dała im warunki, w których mogą myśleć i działać.

I kiedy misje urządzano w czasie natężonej akcji żniwnej, gdy przy pomocy misji agitowano do upadłego, by powstrzymać chłopa od pracy w dni świąteczne, chłopi pracowali, pracowały PGR-y i zebraliśmy wszystko, a było co zbierać, skoro nasz plan zasiewów wiosennych przekroczył 40%.

Paweł Karcz
(Olsztyńskie)

Wszystkie siły przeciw polityce magii

Jestem nauczycielem na wsi, sam chłopskiego pochodzenia. Jestem również S. L-owcem. Znów zobaczyłem po wakacjach moją dzieciarnię, przed którą dziś nie potrzebuję się wstydzić, bo moje nauczanie nie kończy się, jak przed wojną, ślepym zaułkiem zbędności. Wiem, że wielu z nich pójdzie na dalsze studia, że wszyscy mają otwartą drogę do pracy i awansu wskutek naszych przemian utrojowych. I ledwiem zobaczył moją dzieciarnię, ciesząc się różnymi planami na ten rok, jakie przemyślałem przez wakacje, gdy wtem nadchodzi, rzekłbym, mobilizacyjne wezwanie z powiatowego zarządu S. L-u.

Kolego — piszą — piwinniście w najkrótszym czasie, w porozumieniu z kierownikiem OK i P, zorganizować seminaryjny rejon szkoleniowy i przejść do szkolenia gminnego i gromadzkiego Koła S.L-u w zakresie oświatowo-kulturalnym.

Kolego — piszą — w związku z walką z analfabetyzmem jeszcze we wrześniu trzeba pomóc komitetowi rodzicielskiemu określić bieżące zadania.

Kolego — piszą — jest świetlica u Was? — przyłóżcie się w pracy Koła ZSCh. i ZMP do szerzenia czytelnictwa, szczególną uwagę poświęcając prasie ludowej.

Kolego — piszą, — któż, jak nie Wy z sercem odnajdzie i zachęci nadających się do pracy pisarzy-korespondentów z życia gospodarczego, politycznego i kulturalnego waszej wsi.

Jęknąłem — oto początek roku nauczyciela! Mało ta dzieciarnia? Alem zaraz uświadomił sobie, że mało. Tę dzieciarnię nie tylko my uczymy, postępowi nauczyciele. Uczą ją bajki, banialuki, rozsiewane wśród niej bezpośrednio albo poprzez nieoświeconych ze starego pokolenia. Toż przecież reżyseruje się poza „lubelskim cudem" prowincjonalne, parafialne cudziki metodą wypróbowaną: że w drugiej gminie Owczary był cud na rozstajnych drogach, a kiedy tam pojedziesz, dowiesz się, że nic nie było, natomiast w gminie Owczary mówi się o cudzie u nas, w Piaskach. Do czego to służy? Oto dewotki różańcowe powołują się na książkę o Królowej Michejdzie, która zapowiada, że przed ostatnią wojną będzie moc cudów, będzie Chrystus dawał znać o sobie. Matka Boska i wszyscy święci, że to będzie wojna ostatnia i krzyż zatriumfuje. O co tu idzie? Łatwo przejrzeć, że się wmawia wojnę i wymierza jej kierunek na wschód. Ten nawrót obskurnego średniowiecza, to odrodzenie magii i wróżb policzkuje nas, nauczycieli, uderza w naszą sprawę niesienia światła i postępu.

Koledzy nauczyciele, Was również wezwano na front społecznego działania, wspólnym, wielkim frontem kruszmy zabobon i demaskujmy sprężyny polityczne w próbach narzucania wsi magicznego myślenia.

Józef Wysocki
(Rzeszowskie)

W NUMERZE 27 (216) TYGODNIKA „WIEŚ" Z DNIA 11 WRZEŚNIA 1949:

Zygmunt Pióro — Warszawa ludowa; **Anna Kamieńska** — Warszawa i Kształt nowego patriotyzmu; **Maria Żmigrodzka** — Wieś czeka na krytykę literacką; **Kazimierz Piwarski** — Katastrofa wrześniowa; **Bert Brecht** — Trwogi reżimu; **Leon Zdzierak, Maciej Rękas, B. Przybylski, Leon Wójcik, Ludwik Łakomy, Andrzej Skupień — Florek, Stanisław Kośba, Jan Dziduch, Leon Pokora, Władysław Błachut, Szczepan Dłuski — Lasek, Seweryn Skulski, Adam Nowotny** — Chłopi mówią o wrześniu; **Lech Budrecki** — Proza o wrześniu; **Józef Bieniek** — O nowy typ osiedla wiejskiego; **Stanisław Cieślak** — Ku czemu Polska szła; **Maciej Koliba** — Wspólny dom; **Jan Czar** — Bitwy o chleb sprawiedliwy; Fakty i zadania, 19 ilustracji, 8 stron.